



BIBLIOTHECA
UNIV. JAGELL.
CRACOVENSIS

kat. korn.

94502

14,1.

II





7238

KAROL MAY

Tem [Zbiór ogólny powieści]

TAJEMNICA MIKSTEKÓW

cykl

RÓD RODRIGANDA

POWIEŚĆ



Biblioteka Jagiellońska

1001954717

EAST

Nakładem Sp. Wyd. „ORIENT” R. D. Z. 1926

WARSZAWA

Składano czcionkami i tłoczono w Zakł. Druk.

„BRISTOL”

Warszawa, Elektoralna 31.



Prawo wydawania i tłumaczenia na język polski wszystkich dzieł Karola Maya jest wyłączną własnością Sp. Wyd. „ORIENT” R.D.Z. w Warszawie, Prosta 17.

Wszelkie inne wydania i tłumaczenia będą prawnie ścigane.

94502_{2w}

I 14,1

Bibl. Jagiell
1994 D 255/8

Copyright 1926 by „ORIENT” Warsaw

PORWANI PRZEZ KOMANCZÓW.

Było to jesienią roku 1847.
Po rzece Rio Grande del Norte płynęła wolno lekka łódź. Siedziało w niej dwóch mężczyzn, do różnych ras należących. Jeden kierował sterem, drugi zajęty był przygotowaniem patronów z papieru, prochu i kul.

Człowiek siedzący przy sterze miał ostre, mocno nakreślone rysy; przenikliwe, bystre oczy zdradzały Indianina; zresztą sam strój wskazywał na przynależność do rasy czerwonych. Ubrany był w skórzaną kurtkę, skórzane spodnie, obwieszone z boku skalpami zamordowanych wrogów; na nogach miał mokassyny o podwójnych podeszwach, na szyi sznur zębów niedźwiedziej; z włosów, zaplecionych w wysoką wiechę, strzelały trzy orle pióra. Wszystko to świadczyło, że nieznanomy należy do wodzów. Obok niego leżała w łódce wspaniała skóra bawola, służąca za płaszcz. U pasa świecił tomahawk i obosieczny nóż do skalpowania. Na skórze widniała długa dubeltówka; na kolbie jej znaczyło się sporo nacięć—rejestr zabitych z niej wrogów. Na szyi miał jeszcze kalumet,¹⁾ a z kieszeni kurtki wystawały kolby dwóch rewolwerów. Ta broń, tak rzadko

¹⁾ Fajka pokoju.

przez czerwonoskórych używana, wskazywała, że nasz Indjanin utrzymywał ścisły kontakt ze światem cywilizowanym.

Czuwający nad sterem, sprawiał czerwony wrażenie człowieka, zupełnie pochłoniętego swą pracą; ale nie uszłoby z pewnością uwagi badawczego obserwatora, że człowiek ten z pod głęboko opuszczonych rzęs pilnie śledzi brzeg rzeki.

Człowiek, siedzący w łodzi, należy do rasy białej. Jest rostry, wysoki, zgrabny, budowę ma ogromnie mocną; nosi długą, jasną brodę, z którą mu bardzo do twarzy. I on ma na sobie skórzane spodnie, wpuszczone w wysokie buty. Ponadto okrywa go niebieska kamizelka i kurtka myśliwska tego samego koloru. Na głowie ma kapelusz filcowy o szerokich kresach, tak często spotykany na Dalekim Zachodzie. Kapelusz stracił formę, wypłowiał i wyblakł.

Obydwaj mężczyźni wyglądają na lat około dwudziestu ośmiu. Obydwaj mają ostrogi, co jest dowodem, że do łodzi zeszli prosto z koni.

Gdy tak płynęli wzdłuż rzeki, niesieni jej prądem, usłyszeli nagle rzenie konia. Skutek tych dźwięków był błyskawiczny: jeszcze parskanie nie zamilkło, a już obydwoj leżeli na dnie łodzi tak, by z brzegu nikt ich nie dojrzał.

— Schli!—to koń!—wyszeptał w narzeczu Apaczów Jicarilla Indjanin.

— Stoi gdzieś niedaleko—odpowiedział biały.

— Zwietrzył nas! Ale kto na nim jedzie?

— Nie jest to ani Indjanin, ani biały;— odparł myśliwiec—człowiek doświadczony nie pozwolił nigdy, by koń

jego rzał tak głośno. Dopłynęmy do brzegu, wysiadzmy i podkradnijmy się do niego.

— Porzucając Łódź? — zapytał Indjanin. — A nuż to wrogowie, którzy chcą wyciągnąć nas na brzeg i pozabijać?

— Pshaw!—przecież mamy broń!

— Niech więc mój biały brat zostanie w łodzi, a ja przeschukam okolicę.

— Zgoda.

Łódź przybiła do brzegu. Indjanin wyszedł na ląd, biały pozostał w łodzi, trzymając broń w ręku. Po kilku minutach Apacz wrócił.

— No i co?—zapytał biały.

— Jakiś biały człowiek śpi tam pod krzakiem.

— Oho! Czy to myśliwy?

— Ma tylko nóż przy sobie.

— Wpobliżu nikogo?

— Nie widziałem nikogo.

— A więc pójdź. Zobaczymy!

Biały wyskoczył z czółna i przywiązał je do drzewa. Wziął swą strzelbę, wyciągnął oba rewolwery—i on miał tę broń. Tak uzbrojony poszedł za Indjaninem. Droga trwała krótko. Obok śpiącego stał koń, przywiązany do drzewa, osiodłany na sposób meksykański. Śpiący ubrany był w meksykańskie spodnie, rozszerzające się ku dołowi, białą koszulę i niebieską kurtkę, przerzuconą przez plecy na modłę husarską. Spodnie z koszulą łączyła żółta chustka, zawiązana jak pas. W pasie tym, oprócz noża, nie było żadnej broni. Na głowie miał żółty sombrero¹⁾. Spał tak twardo, że nie ruszył się, gdy Indjanin i biały doń podeszli.

¹⁾ Kapelusz o szerokich kresach.

— Hallo, chłopcze, wstawaj! — zawołał biały, uderzając śpiącego po ramieniu.

Tamten obudził się, skoczył na równe nogi, wyciągnął nóż.

— Do diabła, czego chcecie? — zawołał, mrużąc jeszcze powieki nawpół sennie.

— Przedewszystkiem musimy wiedzieć, kim jesteś.

— A kimże wy jesteście?

— Mam wrażenie, że się boisz tego czerwonego. Niepotrzebnie, mój drogi. Jestem Europejczykiem, nazywam się Unger, a mój towarzysz, to Shosh-in-liett,¹⁾ wódz Apaczów Jicarilla.

— Shosh-in-liett?—zawołał nieznajomy.—W takim razie nie mam powodu do obaw, bo wielki wojownik Apaczów jest przyjacielem białych.

— A więc kim jesteś?

— Jestem vaquero.²⁾

— U kogo służysz?

— Służę po tamtej stronie rzeki, u hrabiego de Rodriganda.

— W jaki sposób dostałeś się tutaj?

— To wy raczej odpowiedzcie na to. Mnie gonią Komanczowie.

— Nie bardzo wiarogodnie! Gonią cię Komanczowie, a ty tymczasem śpisz sobie najspokojniej?

— A cóż mam robić, skoro padam ze znużenia.

— Gdzie ich spotkałeś?

— Na północ stąd, niedaleko Rio Pecos. Było nas piętnastu i dwie kobiety, ich—sześćdziesięciu.

— Do pioruna! Czyście walczyli?

¹⁾ Serce Niedźwiedzie. ²⁾ Pasterz bawołów.

— Tak. Napadli nas niespodzianie. Większość towarzyszków pomordowali, kobiety wzięli do niewoli. Nie wiem ilu z naszych, oprócz mnie, uszło bez szwanku.

— Skąd przybywasz i dokąd śpieszysz?

Vaquero nie był rozmowny; trzeba mu było wyrwać z ust słowo za słowem; odpowiedział dopiero po chwili:

— Jechaliśmy konno do fortu Guadalupe po obie damy, które tam były z wizytą.

— Ależ Rio Pecos nie leży wcale po drodze.

— Zanim ruszyliśmy w drogę powrotną, ucięliśmy sobie małą wycieczkę myśliwską do Rio Pecos. Tam nas napadnięto.

— Cóż to za damy?

— Sennorita Arbellez i Indjanka Karja.

— Kim jest sennorita Arbellez?

— Córka naszego dzierżawcy, Pedra Arbellez.

— A Karja?

— To siostra Tecalty, wodza Miksteków.

Shosh-in-liętt słuchał uważnie.

— Siostra Tecalty? — zapytał. — Tecalto jest moim przyjacielem. Wypaliliśmy razem fajkę pokoju. Siostra jego nie może pozostawać w niewoli. Czy mój biały przyjaciel pojedzie ze mną, by ją uwolnić?

— Przecież nie macie koni—wtrącił vaquero.

Indjanin obrzucił go lekceważącym spojrzeniem.

— Niedźwiedzie Serce ma konia, gdy go potrzebuje. W przeciągu godziny ukradnę konia tym psom Komanczom.

— A to byłaby awantura!

— Kiedy was napadnięto?—zapytał Unger.

— Wczoraj wieczorem.

— Jak długo spałeś tutaj?

— Nie dłużej niż kwadrans.

— W takim razie Komanczowie przybędą wkrótce.

— Do stu djabłów!

— Jesteś vaquero, a nie znasz obyczajów wojowników indiańskich? Jakie mają według twego zdania zamiary wobec kobiet? Czy porwali je, by zażądać później okupu?

— Nie, na pewno nie! Porwali, by pojąć je za żony; są bardzo piękne.

— Słyszałem, że kobiety Miksteków słyną z urody. Komanczowie będą dokładać wszelkich starań, by zatrzeć za sobą ślady. Czy wszyscy mieli konie?

— Tak jest.

— W takim razie nie przybędą tu piechotą.

— Do djabła, nie pomyślałem o tem!

— Tak, zdaje się, że nie grzeszysz rozumem. Czy nie pomyślałeś o tem, że będą cię ścigać na koniach? Dlaczego położyłeś się spać?

— Byłem zbyt zmęczony.

— Dlaczego nie uciekłeś przynajmniej na drugi brzeg rzeki?

— Woda głęboka. Końby utonął...

— Dziękuj Bogu, że nie jesteśmy Komanczami. Zbudziłbyś się w raju, ale bez skalpu. Czyś głodny?

— Jak pies!

— No to chodź do łodzi. Ale odprowadź najpierw konia głębiej w krzaki, by go nikt nie widział.

Rozmowę prowadzili Unger i vaquero. Niedźwiedzie Serce wrócił do łodzi i odpoczywał na skórze

ławolej.—Vaquero dostał porcję mięsa, wody napił się z rzeki.

Gdy sobie podjadł do syta, Unger podjął przerwana rozmowę. Dowiedział się, że vaquero pracował w jednej z posiadłości hrabiego Fernando de Rodriganda, położonej między Kordyljerami Cohahuila a Rio Grande del Norte, rzeką, która odgranicza Meksyk od Texasu.

Po jakimś czasie Unger opuścił łódź i wdrapał się na nieco górzysty brzeg, aby zlustrować okolicę. Zaledwie tam się dostał, wydał okrzyk zdziwienia:

— Oho, już są tutaj! Omal nie było za późno!

Indjanin stał już u jego boku.

— Sześciu jeźdźców—powiedział.

— To znaczy, że na każdego z nas po trzech—odparł Unger, nie sądząc ani przez chwilę, by vaquero mógł również stanąć do walki.

— Kto bierze konia?—zapytał Niedźwiedzie Serce.

— Ja!—odpowiedział Unger.

Indjanin rzekł jeszcze:

— Nikt z nich nie powinien ujść żywcem!

Unger zwrócił się do pastucha:

— Więc masz przy sobie tylko noż? W takim razie nie będziesz nam pomocny. Zostań w łodzi, ja zaś wezmę twojego konia.

— A jeżeli go zabiją?—wyjąkał pastuch przerażony.

— Głupstwo, zdobędziemy sześć innych na jego miejsce!

Vaquero został więc w łodzi; Indjanin z białyrami udali się na miejsce, gdzie znaleźli pastucha śpiącego. Tu stanęli obok ukrytego w zaroślach konia i czekali.

Jeźdźcy, których Unger zdaleka dojrzał, zbliżali się szybko. Widać już było ich ubiór i broń.

— Tak, to psy Komancze!—powiedział Niedźwiedzie Serce.—Noszą barwy wojenne, więc nie możemy mieć dla nich litości!

Komanczowie znajdowali się w odległości pół kilometra i jechali pełnym galopem. Minuta, dwie — dzieliły ich od zarośli.

— Te psy nie mają mózgu, nie umieją myśleć.

— Nie przypuszczają nawet, że vaquero się schował. Są pewni, że przepłynął rzekę.

— Uff!

Indjanin podniósł strzelbę. To samo uczynił Unger. Po chwili rozległy się dwa strzały, po nich jeszcze dwa i czterech Komanczów leżało na ziemi. Teraz Unger wskoczył na konia pastuszego i popędził przez zarośla. Pozostali dwaj Komanczowie nie zdążyli pomyśleć o ucieczce, gdy traper już był przy nich. Podnieśli tomahawki do śmiertelnego ciosu, lecz Unger dwoma strzałami z rewolweru położył ich trupem.

Cała walka trwała kilka zaledwie minut. — Konie zabitych udało się schwytać bez trudu.

Po chwili przybył na brzeg vaquero, który z łodzi obserwował przebieg walki.

— Do diabła, ależ to zwycięstwo!—powiedział.

— Drobiazg, cóż to znaczy sześciu Komanczów? — odparł Unger. — Właściwie należałoby oszczędzać krwi ludzkiej, gdyż najcenniejszy to płyn na świecie, ale cóż począć?—te zbroje nie zasługują na lepszy los!

Zebrano broń zabitych, a Indjanin oskalpował swoje dwie ofiary. Wszystkie trupy wrzucono do rzeki.

— Co teraz?—zapytał Unger.

— Trzeba ratować siostrę mojego przyjaciela.

— Czy weźmiemy pastucha?

Niedźwiedzie Serce obrzucił Meksykańczyka lekceważącym spojrzeniem, poczem rzekł:

— Jak uważasz.

— Idę z wami—wtrącił pastuch.

— Nie mam wrażenia, byś nam był potrzebny; bohaterem nie jesteś!—odparł Unger.

— Przecież nie miałem broni!

— Ale wczoraj także uciekłeś.

— Tylko poto, by sprowadzić odsiecz.

— Aha! Czy potrafisz odnaleźć miejsce, na którym was napadnięto?

— Tak.

— Więc zabierzemy cię ze sobą.

— Czy mogę wziąć broń?

— Naturalnie. Weź i konia. Ale nie swojego; zostawimy go tutaj, zbyt jest zmęczony.

Wybrali trzy najlepsze konie, resztę zostawili, poczem ruszono w drogę.

Jechali na północ, ku Rio Pecos. Droga szła z początku przez prerje, później przez łesiste wyżyny. Pod wieczór, dotarłszy do jakiegoś pagórka, ujrzeli gromadę ludzi.

— Uff!—zawołał Niedźwiedzie Serce, jadący na czele.—Indjanie!

Gromada ludzi otaczała jakichś jeńców. Unger wyciągnął lunetę i patrzył przez nią uważnie.

— Co widzi mój biały brat? — zapytał Indjanin.

— Czterdziestu dziewięciu Komanczów i sześciu jeńców.

— Czy są wśród nich kobiety?

— Tak, dwie. Uwolnimy je nocą.

Indjanin skinął głową.

— Trzeba się ukryć—rzekł Unger.—Zapewne oprócz naszego zbiega uciekli i inni. Indjanie, oczywiście, szukają ich. Ci, którzy wracać będą z pościgu, mogliby nas łatwo odkryć.—Zostań przy koniach!—ostatnie słowo zwrócił do pastucha—musimy ślady zatrzeć.

Unger powrócił z Apaczem tą samą drogą, którą przybyli. Po zatarciu śladów, wyszukali wzgórze, gęsto pokryte lasem, i tam ukryli się wraz z końmi.

Słońce zapadło, nadeszła noc. Nikt z naszej trójki nie ruszał się jeszcze; oczekiwali północy, najlepszej pory wywiadów.

— Czy pomyślałeś już, jak mamy się wziąć do rzeczy?—zapytał biały Indjanina.

— Tak—odpowiedział tamten.—Mój biały brat umie zabijać tak, że ofiara nie wydaje nawet dźwięku. Podkradniemy się więc do nich, zamordujemy strażę, przecinamy więzy, któremi są skrępowani jeńcy, i uprowadzimy ich. Howgh!

— Trzeba zaczynać. Podkradanie się zajmie nam dużo czasu.

— Lecz vaquera pozostawimy, prawda? — zapytał Apacz.

— Tak jest. Będzie pilnował koni.

— Więc zaczynamy!

Chwycili za strzelby i ruszyli w drogę, wydawszy przedtem pastuchowi odpowiednie polecenia.

W dolinie błyszczało jedno, jedyne światełko wartownika; wokoło spali Komanczowie; obok nich leżeli skrępowani powrozami jeńcy.

Indjanin szepnął:

— Ty pójdziesz na prawo, ja na lewo.

— Dobrze. Najpierw uwolnimy obydwie kobiety.

Po tych słowach rozstali się.

Unger poczołgał się na brzuchu ku obozowi, jak żmija. Musiał uważać, aby go nikt nie usłyszał, nikt nie zobaczył. Musiał baczyć, by nie zwietrzyły go konie, które częstem parsaniem zdradzają zbliżającego się nieprzyjaciela.

Po długim skradaniu dotarł wreszcie w pobliże strażnika, kręcącego się tam i zpowrotem. Noc była ciemna, światło ognia obozowego słabe. Unger w odległości pięciu kroków od wartownika zerwał się raptownie, chwycił go lewą ręką za gardło, zasznurował je tak, że ofiara wydać nie mogła dźwięku.—Teraz prawą ręką zadał mu cios nożem w same piersi. Czerwony padł na ziemię, jak kłoda

W ten sam sposób załatwił się w ciągu kwadransu z następnym Komanczem. Po chwili spotkał Apacza, który uśmiercił również dwie ofiary.

— A teraz do kobiet—szepnął Indjanin.

— Tylko ostrożnie—wtrącił Unger.

— Pshaw! Wódz Apaczów jest odważny, ale i ostrożny.—Naprzód!

Bardzo cicho zaczęli się przekradać przez wysoką trawę do ognia. Kobiety rozpoznali zaraz po jasnej barwie ubrań; leżały obok siebie, miały skrępowane ręce i nogi. Unger przyczołgał się pierwszy i zbliżył swe usta

do ucha jednej z nich. Mimo ciemności zauważył, że otworzyła oczy i przygląda mu się bacznie.

— Nie bójcie się i bądźcie spokojne—wyszeptał.

Zrozumiała go doskonale. Po chwili porozcinał jedną i drugą rzemienie, które powpijały im się mocno w ciało. Indianin zajął się tymczasem pozostałymi jeńcami. Było ich czterech. I oni nie spali. Niedźwiedzie Serce wziął nóż i zaczął przecinać więzy. W pewnej chwili, gdy przystępował właśnie do uwolnienia trzeciego stanął przed nim jeden z Komanczów, obudzony szmerem. Jakkolwiek Niedźwiedzie Serce na miejscu przebił go nożem, wróg miał jeszcze tyle siły, by w ostatniej chwili wydać okrzyk ostrzegawczy.

— Dalej, do koni, za mną! — krzyknął Niedźwiedzie Serce, uwalniając z więzów pozostałych.

Zerwali się na równe nogi, poskoczyli do koni.

— Na miłość Boską, prędejj! — zawołał Unger do jednej z kobiet, która tak była osłabiona, że ruszać się prawie nie mogła.—Niedźwiedzie Serce!—dodał w śmiertelnej trwodze.

— Jestem!—odezwał się głos Indianina.

— Chodź tu; prędejj, prędejj!

Indianin chwycił osłabioną na ręce i wsadził na konia. Unger uczynił to samo z drugą. Poprzecinawszy lassa, na których konie były uwiązane, rzucili się do ucieczki. Wszystko to się przewinęło w błyskawicznym tempie, ale ani o sekundę za prędko, gdyż w tej samej niemal chwili powietrze rozpruły strzały Komanczów.

Komanczowie, zaskoczeni napadem, biegali tam i powrotem, nie mogąc w pierwszej chwili zorjentować

się, co zaszło. Pościg rozpoczęli dopiero, gdy jeńców unosiły już konie

Unger i Indjanin, którzy znali drogę, jechali przodem. Na wzgórzu czekał vaquero z dwoma końmi.

— Pędź za nami!—krzyknął Unger.

Tak tedy wśród ciemnej nocy uciekali jeńcy ze swoimi wybawcami; za nimi gnali Komanczowie, usiłując osiągnąć zbiegów strzałami. Dopiero, wydostawszy się z doliny, na szerokiej prerji Unger pomyślał o obronie.

— Czy sennorita jeździ konno?—zapytał białą, którą trzymał na swem siodle.

— Tak jest.

— Oto wodze. Niech pani pędzi naprzód!

Sam wskoczył na konia, prowadzonego przez pastucha. Indjanin uczynił to samo. Unger i Indjanin tworzyli teraz straż tylną, doskonałemi swemi strzelbami powstrzymując nieprzyjaciół. Szalona ucieczka trwała do rana. Wtedy pokazało się, że Komanczowie zostali daleko w tyle.

— Może zwolnimy nieco?—zapytał vaquero.

— Nie—odparł Unger.—Musimy mieć za sobą rzekę, wtedy dopiero będziemy bezpieczni.

Zobaczył teraz dokładnie swe towarzyszek i obserwował je badawczo. Jedna była Hiszpanką, druga Indjanką. Obydwie odznaczały się niezwykłą urodą.

— Czy ma pani jeszcze siły do tej jazdy szalonej?—zapytał Hiszpankę.

— Ależ nie czuję wcale zmęczenia.

— Jak mam panią nazywać?

— Imię moje: Emma. Nazwisko: Arbellez. A pańskie?

— Unger.—Czy ma pani do mnie zaufanie?

— Tak.

— Musimy przeprowić się przez rzekę. Nie mamy dostatecznej broni, a nad Rio Grande została reszta tej, którą wczoraj odebraliśmy Komanczom.

— Walczyliście już wczoraj?

— Tak. Położyliśmy trupem wszystkich, którzy ścigali pastucha. Vaquero właśnie powiedział nam, że panie są w niewoli.

— Co za odwaga!

Przy tych słowach obrzuciła Ungera ciepłym spojrzeniem swych ciemnych oczu.

Gdy dotarli do Rio Grande, nie widać już było ścigających Komanczów. Unger rozdzielił między wszystkich broń, która tu leżała od dnia poprzedniego. Z pośród jeńców trzech było vaquerami, jeden majordomem.

— Co robić?—zapytał jeden z nich.—Czy czekać na Indjan? Mamy osiem strzelb, możnaby im dać nauczkę.

— Czy nie szkoda niepotrzebnie krwi przelewać?

— Niepotrzebnie? Jeśli nie rozprawimy się z nimi, będą nas ścigać ustawicznie.

— Ale za tych zabitych mściliby się inni. Lepiej jechać dalej — odparł Unger. — Panie pojedą łódką, my konno.

Usłuchano go oczywiście. Majordomo przewiózł panie łódką, reszta przeprowiła się wbród na swych koniach. Potem zatopiono czółno. Galopowali jeszcze przez kilka godzin niziną, aż w końcu cała kawalkada zwolniła szalone tempo. Jechali stępa.

— Podróżujemy godziny całe obok siebie, a właści-

wie prawie się nie znamy — rzekł Unger do swej towarzyszki.

— Ja, przeciwnie, poznałam pana doskanale—odparła z uśmiechem.—Wiem, że pan szafuje swem życiem dla innych i że jest dzielnym, odważnym myśliwym.

— No tak, ale to niewiele. Jeśli pani pozwoli, powiem jej, że nazywam się Antoni Unger. Gdy ojciec mnie odumarł, wyemigrowałem w młodym wieku do Ameryki, gdzie, po wielu przygodach, żyję, jak sennorita widzi, w prerji.

— Ale w jaki sposób dostał się pan tutaj, nad Rio Grande?

— To sprawa, której nie chciałbym poruszać.

— Więc tajemnica?

— Może tajemnica, może zwykłe dzieciństwo...

— Jestem bardzo ciekawa.

— Nie chcę pani dręczyć—odpowiedział Unger z uśmiechem.—Chodzi tu ni mniej ni więcej tylko o niezwykły skarb.

— Co to za skarb?

— Skarb prawdziwy, z drogocennych kamieni i szlachetnych metali, pochodzący z dawnych, pradawnych czasów.

— Gdzież jest?

— Tego jeszcze nie wiem.

— A kto panu mówił o nim?

— Tam, daleko na północy okazałem jakiemuś starremu choremu Indjaninowi przysługę. Przed śmiercią wyznał mi tajemnicę skarbu.

— Ale nie powiedział najważniejszej rzeczy — gdzie się skarb mieści?

— Podał tylko, że znajduje się w Meksyku w prowincji Coahuila i dał mi mapę, według której mam się zorientować.

— Do jakiej okolicy odnosi się ta mapa?

— Tego nie wiem. Mapa zawiera wzgórza, doliny, rzeki, ale ani jednej nazwy.

— To ciekawe. Czy towarzyszą pański, Shosh-in-liett, wie o skarbie?

— Nie.

— Ten człowiek jest wszak pańskim przyjacielem, prawda?

— Tak, serdecznym przyjacielem.

— I dlaczegoż to mnie, osobie nieznaną, zwierzył sennor tajemnicę skarbu, a nie jemu?

Unger obrzucił piękną Meksykankę jasnym spojrzeniem swych niebieskich oczu i odparł:

— Są ludzie, przed którymi niewiadomo nawet dla czego człowiek spowiada się z najstaranniej ukrywanych tajemnic...

— Do tych ludzi zalicza pan mnie?

— Tak.

Zarumieniła się i, podając mu rękę, rzekła:

— Nie pomylił się pan. Będę z panem szczerą. Wyjawię sennorowi coś, co ma związek z tajemnicą. Czy mam mówić?

— Ależ proszę bardzo — odpowiedział zaskoczony i zdziwiony.

— Znam mianowicie kogoś, kto również myśli o tym skarbie...

— Oho! Któż to taki?

— Nasz młody hrabia Alfonso de Rodriganda y Se-

villa, bratanek i spadkobierca bezdzietnego hrabiego Fernanda. W poszukiwaniu skarbu bawi obecnie u mojego ojca.

— Cóż on wie o skarbie?

— Wszyscy wiemy o tem doskonale, że poprzedni władcy tego kraju ukryli swe skarby w chwili, gdy Hiszpanie zdobywali Meksyk. Poza tem są miejsca, gdzie zakopane złoto i srebro leży masami. Indjanie znają te kryjówki, woleliby jednak umrzeć, aniżeli powierzyć białym swą tajemnicę.

— Kto jednak mówił o skarbie z hrabią Alfonsem?

— Nikt. Przecież mieszkamy w hacjendzie del Erina, a tam chodzą słuchy, że gdzieś w pobliskiej grocie władcy Miksteków ukryli swe skarby. Szukało groty wielu, między innymi hrabia Alfonso, ale napróżno.

— Gdzie leży ta hacjenda del Erina?

— Mniej więcej o dzień drogi stąd, u stoku góry Coahuila. Mam nadzieję, że pan ją pozna, odprowadzając nas do domu.

— Nie opuszczę pani, póki nie będę pewien, że żadne niebezpieczeństwo jej nie grozi.

— A gdy niebezpieczeństwo minie, czy nie zechce pan wtedy być naszym gościem?

— Bezpieczeństwo pani wymaga właśnie, bym ją natychmiast opuścił. Zamordowaliśmy wielu Komanczów; jestem przekonany, że wywiadowcy następują nam na pięty. Możemy paść ofiarą zemsty. Dlatego zawrócę z Niedźwiedziem Sercem przed hacjendą, by zmylić czujność wrogów.

— A nie obawia się pan, że wróg napadnie nas jeszcze, zanim zdążymy wrócić do hacjendy?

— Nie, to wykluczone.—Czerwoni orjentują się tylko po śladach kopyt, a my przecież jedziemy nawet w nocy. Więc coraz wyprzedzamy ich o dobre parę godzin. Ale wróćmy do skarbu. Czy istotnie nikt nie wie, gdzie ta grota leży?

— Przynajmniej nikt z białych.

— A z Indjan?

— Przypuszczam, że jest ktoś. Jeden z pośród nich, może dwóch, wie dokładnie, gdzie został ukryty skarb królewski. Tecalto, jedyny potomek dawnych władców Miksteków, dziedziczy tajemnicę. Karja, która jedzie obok Niedźwiedziego Serca, jest jego siostrą. Może Tecalto jej powierzył sekrety przodków?

Unger zaczął przypatrywać się Indjance z większą niż dotychczas uwagą.

— Czy jest bardzo skryta?

— O, tak! — odparła Meksykanka. A potem dodała z uśmiechem:

— Chociaż powiadają, że kobieta bywa nieużyta tylko do pewnej granicy...

— A tą granicą?

— Miłość.

— Czy sądzi pani, że Karja zbliżyła się do tej granicy?

— Uważam to za bardzo prawdopodobne.

— Któż jest tym szczęśliwcem?

— Niech pan zgadnie, to nie tak trudno.

Unger zamyślił się; fałdy zorały mu czoło.

— Przypuszczam, że to hrabia Alfonso, który na tej drodze chce zdobyć tajemnicę.

— Zgadł pan.

— Sądzi pani, że jego wysiłki mogą rokować powodzenie?

— Kocha go.

— Cóż na to jej brat?

— Może nie wie o niczem. Jest to najślawniejszy cibolero¹⁾; rzadko bywa w domu.

— Najślawniejszy cibolero? Powinieniem znać jego imię. Nie przypominam sobie jednak, bym się spotkał z imieniem Tecalto.

— Myśliwi nazywają go Mokaszi-tayiss.

— Mokaszi-tayiss, Czoło Bawole? — zapytał Unger zdumiony. — Znam go doskonale ze słyszenia. Chętniebym nawiązał z nim stosunki. Więc Karja jest siostrą tego sławnego człowieka? W takim razie trzeba spojrzeć na nią innemi oczyma.

— Czy chcesz pan i jej pokazać, jak umiesz być szarmanckim?

Uśmiechnął się melancholijnie:

— Czy człowiek Dalekiego Zachodu potrafi być szarmanckim? Jakżeż mógłbym współzawodniczyć z hrabią Rodrigranda? A zresztą, gdybym umiał być szarmanckim, wolałbym okazać się nim wobec kogoś innego.

— Któż to taki?

— Pani, sennorito!

Oczy jej zabłyśły radością:

— Ależ ode mnie nie dowie się pan niczego o skarbie!

— Oh, łaskawa pani, są skarby stokroć cenniejsze od złota i srebra. Taki skarb znaleźć—tożby szczęście było!

¹⁾ Poskramiacz bawołów.

— Proszę poszukać. Może pan znajdzie!

Podąła mu rękę, którą Unger uściśnił serdecznie.

W dalszej drodze dowiedział się myśliwiec, że obydwie kobiety pojechały do Rio Grande del Norte, aby odwiedzić ciotkę Karji, która ciężko zaniemogła. Opieka jednak nie potrafiła odwrócić przesądzonego losu; biedna kobiecina umarła. Po jej śmierci Arbellez wysłał majordoma z vaquerami po obydwie panie. W drodze powrotnej napadli ich Komanczowie.

Oprócz rozmowy panny Arbellez z Ungerem toczyła się jeszcze inna. Niedźwiedzie Serce jechał na swym koniu obok Indjanki. Oczy jego raz po raz padały na sąsiadkę, która tak pewnie siedziała na półdzikim rumaku, jakgdyby przez całe życie używała tylko indjańskiego męskiego siodła. Milczący Apacz nie był przyzwyczajony do miękkih słów, ale gdy je uronił, każde kryło w sobie treść istotną. Karja znała doskonale zwyczaje Indjan, nie dziwiło jej milczenie sąsiada. A przeciwnie, odczuła lęk, gdy Niedźwiedzie Serce zwrócił się do niej w te słowa:

— Do jakiego plemienia należy moja młoda siostra?

— Do plemienia Miksteków—odparła.

— Było to kiedyś plemię wielkie i jeszcze dziś słynie z piękności swych kobiet. Czy moja siostra jest za mężem, czy też nie porzuciła jeszcze stanu panieńskiego?

— Nie mam męża.

— Czy serce mojej siostry jest jeszcze jej wyłączną własnością?

Po tem pytaniu, na które nie zdobyłby się chyba

żaden biały, rumieniec zalał ciemne oblicze Indjanki. Mimo to odpowiedziała pewnym głosem:

— Nie.

Twarz Indianina nie drgnęła nawet. Zapytał tylko:

— Czy to aby człowiek z plemienia mojej siostry?

— Nie, to biały.

— Niedźwiedzie Serce zaklina swoją siostrę, by zwróciła się do niego w razie, gdyby biały człowiek ją oszukiwał.

— Nie będzie mnie nigdy oszukiwać!—odpowiedziała z dumą.

Uśmiechnął się nieznacznie i odparł:

— Kolor biały jest fałszywy i brudzi się prędko. Niechaj siostra moja będzie ostrożna.

Jechali ciągle w kierunku południowym. Zanim nastąpił zmierzch, urządzono postój, bo zarówno ludzie jak konie padali ze znużenia. Po półgodzinnej przerwie ruszono w dalszą drogę.

Unger dziwił się, że jego towarzyszka z takim hartem wytrzymuje trudy podróży; Emma odparła z uśmiechem:

— Żyję w tym kraju od dzieciństwa, przywykłam do tego pustkowiec.

— Czy nigdy nie tęskno pani za cywilizacją, za kulturalnem środowiskiem?

— Wcale nie. Mam w domu wszystko, czego mi potrzeba, nawet może więcej. — A obcowanie z dziećmi natury daje mi więcej od tych mdłych, pustych rozmów salonowych. Czy nie mam racji?

— Jestem zupełnie pani zdania. I ja znalazłem wśród tak zwanych dzikich daleko więcej przywiązania i serca

aniżeli wśród ludzi cywilizowanych. Niech pani tylko spojrzy na mego czerwonoskórego przyjaciela. Nie oddałbym go za setkę białych; mają wprowadzić jasną skórę, ale serce ciemne!

— Chwali pan przyjaciela, a o sobie zapomina. Przecież i panu można ufać bezwzględnie.

— Naprawdę?

— Ależ tak! Nie jest pan zwykłym człowiekiem. Ręczę, że i pan ma jakiś honorowy przydomek, nadany przez Indian, lub traperów.

Skinął głową:

— Zgadła pani.

— A jaki to przydomek?

— Niech sennorita nazywa mnie Antonio, albo po prostu Unger.

— Więc nie chce pan powiedzieć?

— Nie teraz. Dopiero, kiedy go ktoś wymówi przypadkiem wobec pani.

— Chce pan zachować incognito, niby jakiś książę!

— Tak! — odparł z uśmiechem — dobry myśliwy jest przecież także wielkim panem. To książę lasów i preryj.

— Tak książę. — Przypomniało mi się głośne imię Matava-se.

— Tak, to sławny człowiek. Czy wiele słyszała pani o nim?

— Owszem. Podobno był nawet w naszych niedostępnych górach.

— Oczywiście. Dlatego też Indianie nazywają go Matava-se, angielscy westmani i traperzy — księciem Rocky, Francuzi — Prince du roc. Wszystkie trzy imiona znaczą to samo: Książę Skał.

— Czy to biały?

— Tak jest.

— Widział go pan kiedy?

— Nie, ale słyszałem, że pochodzi z mojej ojczyzny. Nazywa się podobno Karol Sternau i jest lekarzem. Objechał Amerykę w towarzystwie naszego dzielnego Niedźwiedziego Serca; wędrował miesiące całe wśród skał. Teraz już oddawna jest w Europie.

— Czy i pan wróci do ojczyzny?

Po tych słowach zapanowało krótkie milczenie. Oboje pomyśleli równocześnie o rozłące. Wreszcie Unger przemówił:

— Czy nigdy nie przychodzi pani ochota zobaczyć świat, pojechać do Europy?

— Nigdy! Moja hacjenda jest mi ojczyzną. Nie chcę jej opuszczać.

— Czy nie obawia się sennorita, że kiedyś czerwoni mogliby napaść na dom pani?

— Ależ hacjenda to istna warownia!

— Znam ten rodzaj folwarków. Zbudowane są zwykle z kamienia i otoczone murem. To jednak za słaba obrona przed nieprzyjacielem.

— Będziemy czuwać, a pan z nami. Chcę wierzyć, że będziesz sennor naszym gościem!

— To zależy od Niedźwiedziego Serca. Nie mogę się z nim rozstać.

— Zgodzi się.

— To człowiek, który nadewszystko kocha wolność. Wśród murów długo nie wytrzyma.

— Mam jednak wrażenie, że tym razem...

— Z czego pani to wnosi?

— Ze wzroku, którym obrzuca Karję.

— I ja to zauważyłem! Ale przecież Indjanka kocha hrabiego.

— Prawda. Żal mi Niedźwiedziego Serca.

— Niech go pani nie żałuje. To człowiek ze stał. Nie potrafiłby błagać o miłość.

— A pan, czy także ze stali?...

— Może i ja.

— I nie rozpaczałby sennor?

— Nigdy!

— Czy nie zbyt pewność?

— Cóż robić, tak czuję. Kobieta, którą pokocham będzie musiała mnie szanować. Jestem westmanem i nigdy nie zniżę się do próżnych błagań!

Po upływie pół godziny zapadła noc. Mimo to podróż trwała jeszcze dwie godziny, aż dotarli do jakiejś rzeczutki. Tu urządzono popas. Unger przygotował dla Emmy poślanie z gałęzi i liści; Niedźwiedzie Serce zajął się Karją. Było to, jak na Indjanina, czemś niezwykłym; czerwoni tylko w wyjątkowych wypadkach przykładają się do czynności, które należą do kobiet.

Ułożono się do spoczynku. Co trzy kwadrans następowała zmiana warty. Niedźwiedzie Serce i Unger mieli ostatnie straże, gdyż świt jest porą najniebezpieczniejszą i czerwonoskórzy chętnie ją obierają do napadu.

Noc przeszła spokojnie. Rankiem ruszyli w drogę; po południu zaś przybyli do celu. — —

HACJENDA DEL ERINA.

Hacjenda to niby zwykły folwark; ale meksykańskie folwarki to coś w rodzaju zamków warownych z czasów średniowiecza.

Takim folwarkiem była hacjenda. Olbrzymi budynek zbudowany z kamieni, otoczony murem. Wnętrze uderzało przepychem i ogromem—mogło pomieścić setki ludzi.

Obok folwarku rozciągnął się olbrzymi park, w którym rosły najbarwniejsze, tchnące cudownym zapachem, rośliny tropikalne.

Po drugiej stronie był las dziewiczy, dalej pola, pastwiska, na których pasły się wielotysięczne stada.

Gdy nasza kawalkada przejeżdżała przez pastwiska, powitali ją vaquerowie głośnymi okrzykami. Radość ta wkrótce jednak przeszła w smutek i gniew, gdy się dowiedzieli, że tyłu ich towarzyszy znalazło śmierć z ręki wroga. Przysięgali mu zemstę i chcieli nawet natychmiast wyruszyć, aby jej dokonać.

Na ganku folwarku stał sędziwy Pedro Arbellez, zawiadomiony przez majordoma o przybyciu miłych gości. Stary ojciec rozplakał się, znosząc córkę z konia.

— Witaj, moje dziecko!—pozdrowił ją.—Musiałaś du-

żo wycierpieć w swej podróży; wyglądasz na bardzo wyczerpaną.

Objęła go ramieniem, ucałowała mocno i rzekła:

— Ojczy, byłam w wielkim niebezpieczeństwie.

— W jakim?

— Byłam w niewoli u Komanczów.

— Matko Boska! Czy znowu ukazali się nad Rio Grande?

— Nie. Napadli nas nad Rio Pecos, dokąd udaliśmy się z wycieczką. Ci dwaj panowie uratowali nam życie.

Po tych słowach Emma, ujawszy Ungera i Indjanina za ręce, poprowadziła ich przed ojca.

— Oto sennor Antonio Unger, Europejczyk. A to wódz Apaczów Shosh-in-liett. Bez ich pomocy musiałybyśmy zostać żonami Komanczów, a towarzyszy naszych śmierćby niechybna spotkała.

— Szczęście w nieszczęściu! — odparł don Pedro, ocierając pot z czoła.—Witajcie, moi sennores, witajcie z całego serca! Bądźcie panami tego domu.

Goście weszli do wnętrza, oddawszy konie służbie folwarcznej. Gospodarz zaprowadził ich do salonu, gdzie Emma szczegółowo opowiedziała całą przygodę.

— Na rany Chrystusa, coście wy przecierpieć musiały—biadał don Pedro.—Bóg zesłał wam wybawców. Jemu i im niechaj będą dzięki. Co powie na to hrabia i Tecalto.

— Tecalto?—zapytała Indjanka. — Czy Bawole Czoło jest tutaj?

— Tak, przybył wczoraj.

— A hrabia?

— Bawi od tygodnia. Ale oto i on.

Z przyległej jadalni wyszedł hrabia Alfonso. Miał na sobie czerwony szlafrok jedwabny, suto przetykany złotem, białe spodnie z najdelikatniejszego płótna francuskiego, niebieskie aksamitne pantofle. Głowę zdobił fez turecki. Był naperfumowany czemś niezmiernie mocnym.

Stół nakryty wytwornie a bogato, widoczny poprzez uchylone do jadalni skrzydło drzwi, oraz serwetka, którą hrabia trzymał jeszcze przy ustach, pozwalały przypuszczać, że był właśnie zajęty posiłkiem.

— Ktoś wymówił tu moje imię. Ach, to nasze piękne panie!

Na widok hrabiego, rumieńce pokryły twarz Indjanki, co nie uszło uwagi Niedźwiedziego Serca. Emma odpowiedziała grzecznie, ale chłodno:

— Jak hrabia widzi. Mało brakło, abyśmy nie wróciły wcale. Wzięto nas trochę do niewoli. Komancze...

— Do diabła!—krzyknął Alfonso.—Muszę poskromić tych przeklętych czerwonych!

— Nie będzie to takie łatwe — odparła Emma z ironją.—Zresztą jesteśmy wolne. A oto nasi wybawcy.

Hrabia, obrzuciwszy gości niemile zdumionem spojrzeniem, zapytał:

— Cóż to za ludzie?

— Sennor Unger, Europejczyk, i Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów.

— Doskonała kombinacja! Przypuszczam, że panowie ci zaraz udadzą się w powrotną drogę?

— Są moimi gośćmi i zostaną tutaj, jak długo zechcą, — odparł don Pedro.

— Cóż pan mówi, sennor Arbellez?! — wykrzyknął

hrabia.—Proszę przypatrzeć się tym ludziom. Wykluczone, abym został z nimi pod jednym dachem! Trąca lasem i mułem. Musiałbym natychmiast wyjechać!

Hacjendero wstał; oczy zabłyśły mu gniewem.

— Nie będę hrabiego zatrzymywał — rzekł. — Ci panowie uratowali mi córkę i jej przyjaciółkę, dlatego są moimi najmiłszymi gośćmi.

— A więc tak?

— Nieinaczej!

— Więc nie jestem tu panem i władcą?

— Nic mi o tem nie wiadomo!

— Nie?!—zasyczał Alfonso. — Któż więc jest tu panem?

— Hrabia Fernando. A sennor jesteś tylko gościem. Zresztą nawet hrabia Fernando nie miałby głosu w tej sprawie. Jestem dożywotnim dzierżawcą folwarku. Któż zabroni przyjmować mi u siebie, kogo zechcę?

— Do djabła, to brutalne!

— Nie; brutalną była tylko niegrzeczność i bezwzględność hrabiego wobec moich gości! Jeżeli hrabiemu nie podoba się zapach lasów i moczarów, którego zresztą wcale nie czuję, to nie wiem, czy tym panom zkolei podoba się zapach perfum hrabiego, który, niestety, czuję aż nazbyt! Poproszę teraz moich gości do jadalni.—Pan, hrabio, możesz iść z nami, albo nie iść, jak się sennorowi podoba!

Po tych słowach don Pedro otworzył drzwi do jadalni naocież i niskim ukłonem zapraszał swych gości. Indjanin stał przez cały czas rozmowy don Pedra z Alfonsem bez ruchu, jakby wykuty z kamienia; nie spoj-

rzeź na nawet na hrabiego; miało się wrażenie, że nie rozumie rozmowy. Wszedł do jadalni wyniosły, milczący.

Unger natomiast zwrócił się do Alfonsa:

— Czy pan jest hrabią Alfonso de Rodriganda?

— Tak jest—wyczekująco odpowiedział zapytany.

— Doskonale! Don Arbellez zapomniał sennora nam przedstawić. Wyzywam pana! Proszę wybierać: szpady, pistolety, czy karabiny?

— Mam się bić?—zapytał hrabia z najwyższem zdumieniem.

— Oczywiście! Gdybym został obrażony przed wejściem do tego domu, zabiłbym pana jak psa. Ponieważ stało się to tutaj, muszę mieć wzgląd na panie i na gospodarza.—Proszę wybierać rodzaj broni!

— Mam się bić? Z wami? Na Boga, kimże jesteście?—Zwykłym strzelcem, włóczęgą! Pahl

— Więc nie? W takim razie powiem wam, że jesteście łajdakiem, tchórzem godnym pogardy!

Unger wszedł do jadalni. Alfonso stał na progu, jak osłupiały. Po chwili rzekł do Arbelleza:

— I to pan znosi?!

— Ha, jeżeli hrabia znieść może... No chodźże Emma, chodź Karjo! Nasze miejsce tam, przy ludziach honoru!

— Co za nikczemność! Zapamiętam to sobie, Arbellez!

— Doskonale!

Starzec wszedł do sali jadalnej wraz z obydwoma paniami. Emma, przechodząc obok Alfonsa, rzuciła mu pogardliwe spojrzenie i rzekła:

— Podły!

Indjanka wyszła za nią ze spuszczonei oczami.

Hrabia pozostał sam. Rzucił serwetę na podłogę i, bijąc nogami o ziemię, zaklął:

— Zapłacę wam za to, zobaczyciel

Oczy jego błyszczały przy tych słowach niewypowiedzianym gniewem, a niskie czoło pobródziły głębokie fałdy.

Hrabia Alfonso nie był człowiekiem brzydkim, odstręczającym. Przeciwnie, poszczególne rysy twarzy możnaby nazwać ładnymi; lecz teraz w tej pasji i wściekłości w każdym budziłyby wstręt.

Reszta towarzystwa zasiadła tymczasem do stołu. Posiłek składał się z wielkich ćwiartek melonu, napój otwartych granatów, pomarańcz, słodkich cytryn, oraz tych wszystkich potraw mięsnych i legumin, w które tak obfituje kuchnia meksykańska.

Gdy spożyto posiłek, gospodarz odprowadził gości do przeznaczonych dla nich pokojów. Obydwaj przyjaciele mieszkali razem. — Unger nie mógł wytrzymać w zamknięciu; wyszedł więc do ogrodu, aby odetchnąć jego pachnącem powietrzem. Z ogrodu skierował kroki ku prerji.

Nagle stanęła przed nim dziwna postać. Był to człowiek bardzo wysoki, rosły, cały zaszyty w garbowaną skórę bawolą; na głowie miał coś w rodzaju czaszki niedźwiedzia, z której pasma włosów zwisały niemal do ziemi. Z szerokiego skórzanego pasa wystawały rękojeści nożów; od prawego ramienia do lewego biodra dziwna postać była pięciokrotnie przewinięta lassem. Obok, przy płocie, stała jedna z tych starych, żelaznych rusznic, używanych przed stu laty w Kentucky, a tak ciężkich, że trudno je udźwignąć.

— Kim jesteś?—zapytał Unger.

— Bawole Czoło—brzmiała odpowiedź.

— Tecalto? Mokaszi-tayiss, sławny cibolero?

— Tak jest. Znasz mnie?

— Nie widziałem cię nigdy, lecz słyszałem o tobie.

— Jak się nazywasz?

— Unger. Jestem Europejczykiem.

Ponura twarz Indjanina rozpogodziła się. Tecalto wyglądał na lat dwadzieścia pięć, był typem pięknego Indjanina.

— Więc to ty uratowałeś moją siostrę Karję?

— Los mi sprzyjał.

— Nie, to nie los, nie przypadek. To twoja dzielność Bawole Czoło jest ci wdzięczny dozgonnie. Tyś waleczny, jak Matava-se, Księżę Skał, który również jest Europejczykiem.

— Znasz Europejczyków?

— Tak. Są mocni i odważni; mówią prawdę i umieją zachować wierność. Słyszałem o jednym, którego Indjanie nazywają Itinti-ka, Piorunowy Grot.

— Nie widziałeś go nigdy?

— Nazywają go Piorunowy Grot, bo jest szybki jak strzała, a silny i mocny jak grom. Nigdy nie chybi, gdy strzela; oko ma nieomyślne. Słyszałem o nim wiele, nie widziałem go jednak do dnia dzisiejszego.

— Co takiego?—zapytał zaskoczony Unger.

— Tak, do dnia dzisiejszego. Bo oto teraz stoi przede mną!

— Ja nim jestem? Po czym mnie poznałeś?

— Popatrz na swój policzek. Piorunowy Grot ma na

policzku cięcie od noża—o tem wie każdy, kto o nim słyszał. Czy odgadłem?

Unger skinął głową.

— Tak; nazywają mnie Itinti-ka, Piorunowy Grot.

— Niechaj będą dzięki Wielkiemu Wahkonda,¹⁾ że mi pozwolił mówić z tobą. Jesteś dzielnym człowiekiem, daj mi swą rękę i bądź mi bratem.

Unger uściskawszy dłoń wyciągniętą, rzekł:

— Niech przyjaźń nasza będzie wieczna!

Indjanin dodał:

— Niechaj moja ręka będzie twoją ręką, moja noga twoją nogą. Biada twojemu wrogowi, bo jest także moim, biada mojemu bo jest i twoim wrogiem. Ja to ty, ty to ja, jesteśmy jedno!

Bawole Czoło nie był Indjaninem typu północnego. Był wymowny i rozmowny, ale niemniej groźny od tych milczących czerwonoskórych, którzy uważają za hańbiące oddawać słowami wzruszenia swego serca.

— Czy mieszkasz tutaj, w hacjendzie?

— Nie—odpowiedział Tecalto.—Nie mogę żyć i spać w powietrzu, otoczonym murami. Mieszkam tutaj.

Przy tych słowach wskazał na łąkę, na której stali.

— Masz najlepsze łoże w całej hacjendzie. Mnie również męczą mury!

— I przyjaciel twój, Niedźwiedzie Serce, wyszedł na prerję. Mówiłem już z nim, dziękowałem mu. Jesteśmy braćmi, jak ja i ty.

— Gdzież on jest?

— Siedzi wśród vaquerów.

¹⁾ Bóg.

— Chodźmy do niego

— Indianin chwycił ciężką strzelbę, zawiesił ją na ramieniu i poprowadził Europejczyka.—

Daleko, pośród półdzikich pasących się koni obozowali vaquerowie. Opowiadali sobie o przygodach swej młodej pani. Niedźwiedzie Serce siedział w milczeniu, choć rzecz całą znał przecież najlepiej. Unger, gdy nadszedł, wmieszał się do rozmowy i po jakimś czasie rozwinęła się jedna z tych gawęd, tak często prowadzonych po obozowiskach.

Nagle rozległo się jakieś gniewne rzenie i parskanie.

— Co to?—zapytał Unger.

— To kary ogier—odpowiedział jeden z pastuchów.— Niech zdechnie z głodu, jeżeli nie chce słuchać!

— Dlaczegoż to?

— Nie można go ujarzmić.

— Co takiego?

— No tak, nie można go ujarzmić! To istny djabeł; jesteśmy wobec niego bezradni. Wszyscyśmy tu świetni jeźdźcy, ale pozrzucał nas za wyjątkiem jednego.

— Któż jest tym jednym?

— To Bawole Czoło, wódz Miksteków. Jego jedyne go nie zrzucił, a i on nie potrafił go ujeździć.

— To przecież nieprawdopodobne. Kto utrzyma się na grzbiecie, ten zostaje zwycięzcą.

— I myśmy tak sądził! Ale ten djabeł rzucił się z jeźdźcem do wody, by go zatopić, a gdy to nie pomogło, poniosł go w największy gąszcz leśny i tam zmusił do zeskoczenia z siodła.

— Do djabła!—zawołał Unger.

— Tak, to prawda, — odparł Tecalco. — Przykra, za wstydzająca prawda. A przecież poskromiłem już niejednego konia, który mnie nie chciał słuchać

Pastuch opowiadał dalej:

— Wielu już jeźdźców i strzelców doświadczało swych sił i zręczności na tym czarnym djable, ale wszyscy napróżno. Powiadają, że może tylko jeden zdołałby go poskromić.

— Któż to ma być?

— To obcy traper z Red River, który nie lęka się samego czarta!

— Jak się nazywa?

— Nikt nie zna jego prawdziwego nazwiska, ale czerwoni nazywają go Itinti-ka—Piorunowy Grot. Opowiadają o nim wiele.

Niedźwiedzie Serce i Bawole Czoło nie zdradzili ani jednym ruchem, że chodzi tu o Ungera; on zaś z najspokojniejszą miną zapytał:

— Gdzie jest ten czarny djabeł?

— Za wzgórzem. Leży skępowany.

— To źle!

— Sennor Arbellez dba bardzo o swoje konie, ale tym razem przysiągł, że koń zginie z głodu, jeżeli nie będzie posłuszny.

— Czyście mu zakneblowali pysk?

— Tak.

— Pokażcie mi go.

— Dobrze, sennor. Idziemy!

Gdy się podnosili z ziemi, ujrzeni Arbelleza, który cwałował z córką i Karją. Była to zwykła inspekcyjna

przejażdżka, jaką stary odbywał co wieczora przed spoczynkiem.

Vaquerowie doszli wraz z Ungerem do konia. Zwierzę leżało skrępowane grubemi powrozami, z kagańcem na pysku. Oczy miało nabiegłe krwią. Każda żyła była spuchnięta, z pyska toczyła się piana.

— Ależ to grzech tak dręczyć konia! — zawołał Unger.

— Trudno, co robić,—odpowiedział vaquero flegmatycznie.

— Poprostu niszczenie zwierząt! Tego nie można tolerować. W ten sposób można zgubić najbardziej rasowego konia!

Na te słowa goryczy, wypowiedziane w gniewie, stanął przed Ungerem don Pedro wraz z dziewczętami.

— Skąd to uniesienie? — zapytał.

— Żal mi konia, którego zamęczaciel

— Niech zginie, jeśli nie chce słuchać.

— Nauczy się słuchać, ale nie na tej drodze.

— Wyczerpałem wszystkie środki.

— Dajcie mu dobrego jeźdca.

— Nie poskutkuje!

— Czy mogę spróbować?

— Nie!

Unger popatrzył ze zdumieniem:

— Dlaczegoż to?

— Dlatego, że zbyt mi drogie pańskie życie.

— Ależ, płonna obawa! Nie mogę na to patrzeć! —

Więc zgadza się pan, bym dosiadł tego konia?

Emma zwróciła się do ojca:

— Ojczy, nie pozwól sennorowi. Koń jest niepewny, niebezpieczny!

Unger obrzucił ją spojrzeniem szczęścia. Cieszył go ten lęk o niego. Odparł jednak poważnie:

— Niechże mnie pani nie obraża, sennorita. Zapewniam panią, że się nie boję tego czarnego djabła.

— Przecież sennor nie zna go jeszcze — rzekł Arbelliez. — Powiadają tu ludzie, że może tylko Itinti-ka, Piorunowy Grot, dałby mu radę.

— Czy zna pan tego Itinti-ka?

— Nie, ale jest to podobno jeden z najlepszych jeźdźców świata.

— Sennor! Obstawiam przy swojej prośbie.

— Cóż robić, muszę się zgodzić, bo jest pan moim gościem. Żal mi pana tylko.

Emma zeskoczyła z konia, podeszła do Ungera i, wyciągając do niego rękę, rzekła:

— Sennor Unger, czy dla mnie nie zrezygnowałby pan ze swego szalonego zamiaru? Tak się obawiam o pana!

— Niech mi pani powie szczerze, czy nie byłoby to dla mnie hańbą ustąpić teraz? Sądzonoby, że się przestraszyłem.

Pochyliła głowę, czuła bowiem, że Unger ma słuszność. Zapytała tylko cichutko:

— Odważy się pan?...

— Nie trzeba na to specjalnej odwagi.

— A więc, szczęść Boże!

Unger podszedł do ogiera, odsuwając pastuchów, którzy chcieli mu pomóc w zdejmowaniu więzów. Zwierzę wiło się jeszcze ciągle na ziemi, parskając i jęcząc.

Unger ściągnął mu kaganiec z pyska i nożem przeciął więzy, krępujące tylne nogi; później przednie. Kiedy rumak powstał, strzelec raptem wskoczył mu na grzbiet.

Rozpoczęła się walka między jeźdźcem a koniem, jakiej nikt z widzów tej sceny nie widział jeszcze dotąd. Ogier stanął dęba, skoczył w bok, kąsał i wierzgał na wszystkie strony, rzucił się wkońcu na ziemię, tarzał po niej przez chwilę, i znowu podniósł się na równe nogi; jeździec siedział cały czas jak ulany. Były to z początku zapasy zręczności człowieka z niesamowitym żywiołem zwierzęcia, które później zmieniły się w walkę muskułów ludzkich z siłą bestji. Koń obłany był pianą; nie parskał już, tylko jęczał; borykał się ze swym pogromcą, ale żelazny jeździec nie ustępował. Trzymał karosza w uścisku swych stalowych nóg—koń nie mógł wprost chwycić oddechu. Jeszcze wspiął się, stanął dęba, wreszcie ruszył galopem przez kamienie, rowy i krzaki. Po kilkudziesięciu sekundach jeździec wraz z koniem zniknęli z oczu zdumionych widzów.

— Do króćset, czegoś podobnego w życiu nie widziałem!—rzekł Arbellez.

— Złamię kark z pewnością — wtrącił któryś z vaquerów.

— Ale, co mówisz! Już zwyciężył!

— A tak się bałam — wyznała Emma. — Ale teraz wierzę, że niebezpieczeństwo minęło. Nieprawda, ojczy?

— Możesz być zupełnie spokojna. Kto tak siedzi w siodle i taką ma siłę, ten już nie da się zrzucić! Miałem wrażenie, że to djabeł walczy przeciw djabeł. Sam Itinti-ka nie pojechałby lepiej.

Wtedy zbliżył się Bawole Czoło i powiedział:

— Tak jest, sam Itinti-ka nie pojechałby lepiej, choćby dlatego, że Unger jest nim właściciel

— Co takiego? Więc to on jest Piorunowym Grotem?

— Tak jest. Zapytajcie wodza Apaczów!

Arbellez obrzucił Indjanina pytającym spojrzeniem.

— To prawda—odpowiedział Apacz.

— No, gdybym o tem wiedział, nie bałbym się tak o niego!—rzekł don Pedro.—Miałem wrażenie, że ja sam dosiadam tej bestji.

W oczach Emmy zapłonęły błyski szczęścia.

Wszyscy czekali w skupieniu. Po upływie jakiegoś kwadransu Unger wrócił. Koń szedł, jakby złamany; jeździec siedział w siodle z uśmiechem na ustach.

Emma podeszła do Ungera:

— Dziękuję, sennor!

Inny zdziwiłby się może i spytał: — na co? — on jednak zrozumiał i uśmiechnął się zadowolony.

— No, sennor Arbellez!—zwrócił się do starca—czy istotnie nie można było sobie poradzić bez Itinti-ka?

— Oczywiście, że nie można było! Przecież sennor nim jesteś.

— A więc wykryła się tajemnica!—rzekł Unger wesoło.

— I skończyło się incognito Księcia Sawany! — dodała Emma.

Otaczający wydawali okrzyki uznania, ale on poprosił o milczenie i rzekł:

— Nie skończyłem jeszcze. Czy mogę jechać razem z panem, don Pedro?

— A koń nie zanadto wyczerpany?

— To nie szkodzi!

— A więc dobrze.

Przybyli przed dom przez pastwiska, na których pasły się setki koni, wołów, owiec i kóz. Unger uwiązał swego „djabła” przy płocie.—

Gdy Indjanka Karja, idąc do siebie, mijała korytarz, drzwi pokoju hrabiego otworzyły się nagle i stanął w nich Alfonso.

— Karja, czy będę mógł dziś pomówić z tobą?

— Kiedy?—zapytała.

— Dwie godziny przed północą.

— Gdzie?

— Na dole, przy drzewach oliwnych, nad strumieniem.

— Dobrze, przyjdę!

O dziesiątej hrabia zjawił się w oznaczonem miejscu. Po chwili przysłała i Karja. Była bardziej milcząca, niż zazwyczaj.

— Co się stało, Karja? Czy mnie już nie kochasz?

— Ależ kocham cię, choć właściwie nie powinnam! Czy nie cieszysz się wcale, że zostałam uratowana?

— Ah, cóż znowu?

— Dlaczegoż w takim razie obraziłeś moich wybawców?

— Miejsce ich na pastwiskach, w prerjach, nie tutaj!
Indjanka odpowiedziała:

— Nie jesteś szlachetny, don Alfonso!

— Nienawidzę tylko wszystkiego, co wstrętnie!

— Czy Piorunowy Grot jest wstrętny?

— Pioruncwy Grot? Ten wspaniały jeździec i scout?

Przecież nie widziałem go nigdy w życiu.

— Ależ owszem! Piorunowy Grot — to Unger.

— Do djaska! Teraz rozumiem jego wyzwanie!

— Czy będziesz się z nim bił?

— Ani mi się śni! To przeciwnik niegodny mnie
Indjanka, w obawie o życie hrabiego, rzekła:

— Może postępujesz słusznie. Byłbyś zgubiony.

Nie jest to przyjemne usłyszeć z ust ukochanej,
że innego uważa za dzielniejszego. Hrabia odpowiedział
więc:

— Jesteś w błędzie! Czy widziałaś kiedy, jak strze-
lam, jak się fechtuję?

— Nie.

— W takim razie trudno ci sądzić. Rycerz, hrabia,
musi przecież stać w tych sprawach wyżej od zwy-
kłego westmana! Poznasz mnie dopiero wtedy, gdy za-
szczycę cię tytułem swej małżonki!

— Boję się, że to nigdy nie nastąpi. A tak chciała-
bym ci wierzyć. Kocham cię!

— Nie bój się, kochana; wszystko zależy tylko od
ciebie. Pamiętaj o warunku, który ci postawiłem?

— Twardy i nieubłagany, bo wymaga, abym złamała
przysięgę, abym zdradziła swój naród.

— Przysięga nie powinna cię wiązać, wszak dałaś
ją jako dziecko; naród twój nie jest już narodem. Je-
żeli mnie kochasz, jeżeli chcesz zostać moją żoną, mój
naród powinien stać się twoim. Przyjechałem, by się
przekonać o twojej miłości. Jeżeli tym razem nie zde-
cydujesz się, powrócę do Hiszpanji i nigdy się już nie
zobaczymy!

— Jesteś okrutny!

— Nie; jestem tylko ostrożny. Serce bowiem, które
nie umie zdobyć się na ofiarę, nie zna prawdziwej mi-
łości!

— Ależ—zawołała Karja, rzucając mu się na szyję,—kocham cię nieskończenie, wierzaj mi!

— Daj mi dowód! Potrzebujemy skarbów z grotby królewskiej, aby dać ojczyźnie nowego władcę. Pierwszym jego czynem będzie podniesienie ciebie do stanu szlacheckiego, byś mogła zostać hrabiną de Rodriganda.

— Wierzę ci!—Nigdy nie powiesz memu bratu, że to ja zdradziłam tajemnicę skarbu?

— Nigdy! Nie dowie się nawet, kto wziął skarb.

Alfonso czuł, że Indjanka zaczęła ulegać. Przepętniała go radość. Udając miłość, aby wydrzeć tajemnicę, byłby przyrzekł Karji wszystko, byle zmusić ją do mówienia.

— Dobrze więc; dowiesz się, gdzie leży skarb królewski. Ale pod warunkiem, że zdradzę ci tajemnicę dopiero w dzień naszych zaręczyn.

— To niemożliwe—odparł, niezadowolony.—Szlachectwo możesz otrzymać dopiero po odkryciu skarbu; prędzej, według ustaw naszego kraju, nie mogą nastąpić nasze zaręczyny.

— Czy to prawda?—zapytała.

Alfonso objął ją ramieniem i ucałował.

— Najszczęsza prawda, wierzaj mi, droga Karjolo! Wiesz przecie, że żyć bez ciebie nie mogę. Jesteś wprawdzie córką księżącą, ale według praw hiszpańskich nie wystarczy to do szlactwa. Sercu memu jesteś droga i godna herbu, ale świat inaczej na to patrzy. Więc mi nie chcesz zaufać, najdroższa?

— Dobrze, dowiesz się o wszystkim! — odrzekła Karja.—Ale na jeden warunek musisz się zgodzić. Daj

mi pismo, w którym przyrzekasz, że po wydaniu tajemnicy skarbu weźmiesz mnie za żonę.

Warunek ten był hrabiemu bardzo nie na rękę, ale czy warto teraz, gdy cel tak bliski, odmawiać takiej drobnostki? Dlatego odrzekł:

— Ależ owszem, moja droga. Odpowiada to zupełnie memu własnemu życzeniu. Więc powiedz, gdzie są skarby?

— Najpierw pismo, drogi Alfonso!

— Dobrze! Przygotuję je na jutro, na południe.

— I zaopatrzysz swoją pieczęcią?

— Tak.

— W takim razie wieczorem powiem ci, w którym miejscu skarb jest ukryty.

— Dlaczego dopiero wieczorem?

— Muszę uważać, aby Emma lub któryś ze służących nie domyślił się czego.

— Więc przyjdiesz do mnie?

— Ja do ciebie?—zapytała z wahaniem.

— Czy się lękasz?

— Nie! Przyjdę.

Alfonso jeszcze raz ucałował Karję, choć nie miał do pieśczot najmniejszej ochoty. Posiadał wprawdzie serce szerokie jak austerja, ale nie czuł upodobania do Indjanek.—

Podczas tej rozmowy Alfonsa z Karją, prowadzonej w gaju oliwnym, Unger odprowadzał wodza Tecalto w kierunku prerji. Pożegnawszy się z nim, nie wracał jeszcze do domu, tylko, spragniony ciszy, wszedł do ogrodu. Tu usiadł u stóp fontanny, przyglądając się grze wody.

Po chwili usłyszał kroki. Przed fontanną stanęła postać kobieca. Poznał Emmę. I ona go zobaczyła.

— Jeżeli przeszkadzam, odejdę zaraz—rzekł Unger.

— Myślałam, że pan już śpi,—odparła.

— Pokój jest mi za ciasny, za duszny; trzeba się długo przyzwyczajać, by zasnąć w zamkniętej przestrzeni.

— I ja odczuwałam to samo; dlatego też przyszedłam tutaj.

— Niechże pani swobodnie rozkoszuje się wonią ogrodu. Dobranoc, sennorita!

Chciał odejść, ale ujęła go za rękę i zatrzymała:

— Niech pan zostanie. Bóg dał nam dosyć powietrza, zapachów i gwiazd, byśmy oboje mogli z nich korzystać. Nie przeszkadzasz mi, sennor!

Usłuchał i usiadł obok, nad fontanną.—

Wódz Miksteków, Bawole Czoło, leżał przy ogrodowym parkanie. Patrzył melancholijnie w gwiazdy, myślał o światach wiecznych, w których krążą setki słońc, czczonych niegdyś przez jego królewskich przodków. Zatopiony w marzeniach, miał jednak ucho czułe na każdy szmer. Po chwili usłyszał w ogrodzie ciche kroki, rozmowę prowadzoną przytłumionym głosem. Wiedział o tem, że hrabia widuje się z Karją, wiedział, że Hiszpan nie jest jej obojętny. Obudziła się w nim niechęć do hrabiego. Od godziny niema ani Karji, ani Rodrigandy w domu. Czyżby mieli schadzkę w ogrodzie? Musi to sprawdzić dla dobra jej i swego!

Podniósł się cicho i ze zwinnością pantery przesadził płot. W ogrodzie położył się na ziemi i czołgał tak cicho, że nawet Unger nic nie słyszał. Wkońcu do-

stał się w okolicę fontanny, tak, że mógł słyszeć każde słowo.

— Powinnam właściwie gniewać się na pana — mówiła Emma.—Tak się niepokoić musiałam z powodu sennora!

— Zupełnie bez potrzeby. Nie takie konie zdarzało mi się ujarzmiąć. Zresztą, czarny djabeł tak się uspokoił, że może go dosiąść nawet kobieta.

— Jeden dobry rezultat dała ta impreza — odkryła pańskie incognito.

— A jednak właśnie dlatego, że go używałem, że uważano mnie za zwykłego, przeciętnego myśliwca, nie-raz udawało mi się osiągnąć wielkie korzyści.

— Ale mnie mogłeś sennor chyba zdradzić swe incognito! Znam przecież o wiele większą pańską tajemnicę.

— Ah, chyba nigdy nie poznam tajemnicy skarbu królewskiego, jakkolwiek mam wrażenie, że jestem bardzo blisko niego.

— Z czegoż pan to wnosi?

— Z rysunku gór, z biegu wód. Okolica, przez którą jechaliśmy bezpośrednio przed przybyciem tutaj, zgadza się z fragmentem mojej mapy.

— A więc ma pan punkt oparcia. Można szukać

— Waham się. Mam wątpliwości, czy przysługuje mi prawo.

— Ależ cóż znowu! Nie przeceniam wartości złota, lecz posiadanie jego daje podobno coś, za czym tysiące tęsknią nadaremnie. Trzeba szukać, koniecznie.

— Tak; moc złota jest jednak olbrzymia... W ojczyźnie mam brata — biedaka, uszczęśliwiłbym go nim. Ale

kto ma prawo do skarbu? — Chyba potomkowie tych, którzy go ukryli.

— Nie wie sennor, od kogo pochodzi mapa?

— Od pewnego Indjanina, jak już pani mówiłem. Był ranny, umarł, zanim zdążył objaśnić mnie co do niej ustnie.

— Niema na mapie żadnego imienia, żadnego nazwiska?

— Nie. W jednym rogu znajduje się znak tajemniczy, którego nie rozumiem. — Tak, będę szukał. Ale jeżeli znajdę skarb, nie dotknę go, tylko postaram się oddać tym, do których należy według prawa. Jeżeli nie znajdę ich—wtedy zobaczymy!

— Jest pan człowiekiem honoru—rzekła Meksykanka.

— Nienawidzę wszystkiego, co nieuczciwe.

— A więc brat pański jest biedny?

— Tak! Żegluję po morzach, żyje z pracy rąk, na którą jest skazany. A ja mam małą tylko sumkę, którą udało mi się zdobyć w swoich licznych przygodach.

— Ma pan więcej, o wiele więcej. Piorunowy Grot ma inne skarby...

— Tak, bywają inne. Bywają takie, dla zdobycia których nieustraszony Itinti-ka oddałby wszystko, wszystkol

— Cóż to za skarb?

— Czy można go nazwać?—zapytał cicho.

W głosie jego zadrgała nuta niepokoju, która nie uszła uwagi Emmy. Rzekła krótko:

— Słucham.

— To pani, sennorita, tylko pan! — wyszeptał, biorąc ją za rękę.—Czy wierzy mi pani?

— Tak, wierzę — odpowiedziała prosto, serdecznie i szczerze.— I ja jestem zdania, że serce człowieka jest więcej warte od wszystkich bogactw świata! Znam nawet taki skarb.

Przeczuwając radosną prawdę, zapytał:

— Cóż to za skarb, sennorita?

— Pan nim jest,—nie, ty jesteś nim, Antoniol

Po tych słowach objęła go ramieniem, położyła głowę na jego piersiach.

— Czy to prawda? Czy to możliwe?

— Tak. Podziwiałam cię od chwili, gdy przeciąłeś więzy, któremi byłam skrępowana; pokochałam od chwili, gdy spojrzałam w twe dobre, czyste, wierne oczy. Jestem twoja, ty mój mocny, dobry, ukochany Antonio; chcę żyć tylko dla ciebie!

Unger wyszeptał:

— Boże, wielki Boże! Za wiele szczęścia dla biednego myśliwca!

Usta ich zeszyły się w długim pocałunku, w czasie którego nie słyszeli oczywiście, jak Bawole Czoło przyczołgawszy się do płotu, przesadził go zpowrotem, by udać się na spoczynek.

Unger nie zdążył jeszcze wstać rano z postania, a już gościnnie gospodarz witał go życzeniem dobrego dnia:

— Przychodzę, po prawdzie, z pewną prośbą — rozpoczął don Pedro.

— Spełnię ją, o ile tylko będzie w mojej mocy.

— Mam nadzieję, że uda się to panu. Podróżując po prerjach, nie jest sennor w stanie doglądać swego ekwipunku. A ja mam tu wszystkiego nadmiar. Czy nie

zechciałby więc pan kupić u mnie nieco bielizny i jakiejś odzieży?

Unger rozumiał doskonale, o co chodzi gościnnemu gospodarzowi, ale nie chciał go obrażać. Wytarte ubranie myśliwskie istotnie wyglądało nędznie. Więc odrzekł po krótkim namyśle:

— Owszem, przyjmuję pańską propozycję, ale ceny nie mogą być wygórowane, bom, szczerze mówiąc, goły jak bizon.

— No, no. W każdym razie muszę coś zarobić. Ale nie ma sennor potrzeby płacić zaraz, mogę poczekać. Chodźmy, wybierze pan coś sobie.

Gdy w godzinę potem Unger stanął przed lustrem, wydało mu się w pierwszej chwili, że widzi obcego człowieka. Miał na sobie spodnie meksykańskie, obszyte złotem, lekkie półbuty z olbrzymimi ostrogami, śnieżno-białą koszulę; na niej krótką kurtkę, przybraną złotem i srebrnymi monetami. Głowę zdobił sombrero o szerokich kresach, biodra przewiązywał szal z najdelikatniejszej chińskiej materji. Włosy miał przystrzyżone, brodę starannie podgoloną.

Gdy udał się na śniadanie, w jadalni zastał już Emmę. Zarumieniła się na widok zmian, jakie w nim zaszły. Karja dopiero teraz zwróciła uwagę, jak wspaniałym mężczyzną był Unger. Może w myślach zestawiała go ze swoim ukochanym. Obydwaj Indjanie—Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce—zachowali się oczywiście tak, jakgdyby żadnej zmiany nie spostrzegli.

Hrabia Alfonso zato szalał z gniewu. Nikt nie chciał wdawać się z nim w rozmowę, a musiał słuchać,

jak czule gawędziła Emma z Ungerem. Zgrzytał zębami, w duchu przysięgając przybyszowi zemstę.

Po śniadaniu Emma zatrzymała Ungera i ojca. Myśliwiec ani przeczuwał, o co chodzi. Gdy zostali we troje, Emma otoczyła ojca ramieniem i rzekła:

— Zastanawialiśmy się wczoraj, jak się wywdzięczyć sennorowi Ungerowi za jego dobrodziejstwa, nieprawdaż?

— Tak—odpowiedział don Pedro — ale, niestety, nic nam nie przyszło do głowy.

— A ja już wiem! Chcesz, bym i tobie powiedziała?

— Naturalnie!

Zbliżyła się do Ungera i pocałowała go.

— Oto nagroda. Mam wrażenie, że jest jej godny!

Łzy radości zabłyśły w oczach don Pedra.

— A czy sennor Unger rad z tego?

— Jestem tak szczęśliwa, gdyż kocha mnie,—rzekła

Emma.

— Wyznał ci to sennor?

— Tak!

— Kiedyż?

— Wczoraj wieczorem. W ogrodzie. Poczóż masz wiedzieć wszystko, ojczel! Czy ci to nie wystarcza, że jestem szczęśliwa?

— I dla mnie to szczęście! Więc naprawdę chce pan zostać synem starego, skromnego dzierżawcy?

— Z całego serca—odrzekł Unger.— Nie wiem tylko, czy zechce mię sennor przyjąć, wszak jestem ubogi jak mysz kościelna.

— Zato ja nie jestem biedakiem, więc jakoś damy sobie radę.— Pójdźcie tu do mnie, moje dzieci, niech was uściskam. Niech dzień ten będzie wigilią dni jasnych i szczęśliwych!

Długo trwali w objęciach, aż otworzyły się drzwi i stanął w nich hrabia.—Gwałtownie zaskoczony, zorjentował się jednak szybko; gniew nim już miotał.

— Mam wrażenie, że przeszkadzam!—zasyczał.

— Ależ, broń Boże! Właśnie mamy święcić zaręczyny Emmy z sennorem Ungerem.

— Życzę wiele szczęścia!

Wyrzuciwszy te słowa w najwyższej pasji, hrabia się cofnął.

Arbellez zwołał służbę i oświadczył jej, że dzień dzisiejszy uważa za święto, gdyż obchodzić się będzie zaręczyny jego córki z Ungerem. Wkrótce cała hacjenda rozbrzmiewała od radosnych okrzyków vaquerów i Indian w służbie Arbelleza. Szczerze bowiem byli oddani swym gospodarzom.

Gdy Unger znalazł się na pastwisku, przystąpił do niego wódz Miksteków;

— Jesteś dzielnym człowiekiem! Pokonałeś wroga i zdobyłeś najpiękniejszą squaw w tym kraju. Niech cię Wahkonda błogosławi! Tego ci życzy twój brat.

— Tak, to szczęście niezwykle! Jakkolwiek jestem jedynie ubogim myśliwcem, padł na mnie uśmiech szczęścia.

— Mylisz się; nie tylko szczęśliwcem byłeś, ale również bogaczem!

— No tak, bogaczem — zaśmiał się Unger wesoło. — Mieszkałem w lesie, a gwiazdy były mi okryciem!

— Nie; byłeś bogaczem, bo miałeś klucz do tajemnicy królewskiego skarbu.

— Skąd wiesz o tem? — zapytał Unger w najwyższym zdumieniu.

— Wiem. Czy mogę zobaczyć tę mapę?

— Możesz.

— Zaraz?

— Chodź ze mną!

Unger zaprowadził Indjanina do swego pokoju, aby pokazać mapę. Tecalto spojrział na jeden z jej rogów i rzekł:

— Tak, to ta sama! Ma znak Toksertesa, który był ojcem mego ojca. Musiał opuścić kraj i nigdy doń już nie wrócił. Czy chcesz zobaczyć grotę, w której ukryty jest skarb królewski?

— Możesz mnie do niej zaprowadzić?

— Tak!

— Do kogo należy skarb?

— Do mnie i do siostry mojej, Karji. Myśmy jedyni potomkowie królów Miksteków. Bądź dziś o północy gotowy. Drogę tę można odbywać tylko nocą. Nikt nie powinien o tem wiedzieć. Tylko tej, której oddałeś swe serce, możesz zwierzyć tajemnicę. Bo ona jedyna wie, że poszukujesz skarbu!

— Lecz skąd ty wiesz o tem?

— Słyszałem całą waszą wczorajszą rozmowę, prowadzoną w ogrodzie. Słyszałem, jak się wahałeś, jak chciałeś zaniechać poszukiwania skarbu. Jesteś uczciwy,

a rzadka to cecha u białych. Dlatego też danem ci będzie skarb królewski zobaczyć.—

W godzinę potem, gdy wszyscy przy obiedzie toczyli w jadalni towarzyską rozmowę, Karja weszła na palcach do pokoju hrabiego.

— Czy pismo gotowe?—zapytała.

— Umiesz czytać?

— Umiem!—rzekła wyniośle.

— Oto je masz!

Alfonso wręczył Karji arkusz papieru, na którym wypisane było, co następuje:

Niniejszem oświadczam, że po otrzymaniu skarbu królewskiego Miksteków będę się uważał za narzeczonego Karji, wnuczki ich królów, i jako żonę swoją wezmę ją do ojczyzno-ego kraju.

A l f o n s o

hrabia de Rodriganda y Sevilla.

— Czy dobrze?

— Słowa podobają mi się, ale brak pieczęci.

— Wszak zbyteczna!

— Przyrzekłeś mi przecież!

— Niechże i tak będzie! — odpowiedział, ukrywając niezadowolenie.

Roztopił lak i przyłożył swą pieczęć.

— Więc wszystko dobrze, Karja? — zapytał. — Teraz ty dotrzyмай słowa.

— Dotrzymam. Czy znasz górę El Reparo?

— Tak. Leży o cztery godziny stąd w kierunku zachodnim.

— Wygląda jak podłużna, wysoka tama. Płyną z niej do doliny trzy strumienie. Najważniejszym dla ciebie jest środkowy. Jeżeli wejdiesz w wodę tego strumienia i tam, gdzie on z góry wypływa, schylisz się lub padniesz plackiem i poczujesz naprzód, będziesz miał grootę przed sobą.

— No, to nie byłoby takie trudne!

— Bardzo łatwe.

— Czy światło jest potrzebne?

— Pochodnie znajdziesz przy wejściu do groty, po prawej stronie.

— To wszystko, co miałaś mi powiedzieć?

— Wszystko!

— Czy leży tam cały skarb?

— Cały.

— Dziękuję ci, drogie dziecko! Jesteś moją narzeczoną i wkrótce poślubię cię. Teraz jednak idź! Mógłby nas ktoś zobaczyć.

Karja odeszła. Było jej niezwykle ciężko na duszy. Myślała, że musi jeszcze wziąć udział w uroczystości zaręczynowej Emmy i, w ogólnej radości, ona jedna płakała.

Hrabia pozostał w swoich pokojach; w jadalni się nie pojawił. Po południu przybył do niego konny posłaniec. Otrzymał pilny list z Meksyku, adresowany do rąk własnych. Po przeczytaniu go, zaczął mówić sam do siebie, wodząc wokoło błędnym wzrokiem:

— Niech się dzieje, co chce, niech to będzie zbrodnia! Ale za cenę tej zbrodni włożę na czoło koronę

hrabiowską! Przywiezę ze sobą bogactwa, które zaćmią skarby wszystkich cesarzy i królów!

List brzmiał, jak następuje:

Drogi bratanku!

Otrzymałem od twego Ojca list, który nadszedł w osiem dni po twoim odjeździe. Musisz wracać do Hiszpanji, na zamek rodowy Rodriganda. Zanim jednak przybędziesz, umrze stary Fernando. Przybywaj! Kapitan Landola przyjeżdża do Veracruz.

Twój wuj
Pablo Cortejo.

SKARB MIKSTEKÓW.

Uroczystości zaręczynowe przeszły pogodnie, gdyż hrabia nie pokazał się podczas nich ani na chwilę.

Dwaj lokaje pakowali przez całe popołudnie jego rzeczy. Po kolacji Alfonso zawiadomił Arbelleza, że nocą opuszcza hacjendę. Don Pedro nie zapytał wcale o przyczynę wyjazdu, ani też nie starał się hrabiego zatrzymać. Wychodząc z domu, Alfonso spotkał Karję, wracającą z ogrodu. W przekonaniu, że jest już u celu i że nie ma się z czem liczyć, hrabia rzekł bez namysłu:

— Przed chwilą zawiadomiłem Arbelleza, że odjeżdżam.

— Dokąd to?

— Do stolicy.

— A skarb?

— Zabiorę go, jeżeli nie w całości, to przynajmniej częściowo. Służba moja czeka z mułami, udam się więc wraz z nią, by zabrać skarby. Potem jedziemy wprost do Meksyku.

— Kiedy wrócisz?

— Niewiadomo.

— Czy zabierzesz mnie stąd?

— Tak, skoro tylko spełnią się plany, o których ci mówiłem.

Indjanka wyczuła w głosie hrabiego ironję, odrzekała więc:

— Jeżeli nie wrócisz, odszukam cię w stolicy!

— O, to sobie wypraszam! Musisz w hacjendzie czekać na mój powrót! — Słowa te wypowiedział głosem despotycznym i ostrym.

— Jakim tonem przemawiasz do mnie? — zapytała zmieszana.—Nie uwierzyłabym nigdy, że hrabia de Rodriganda potrafi tak mówić do swej przyszłej małżonki!

— Twoja wina! Jeżeli nie będziesz się zachowywała odpowiednio, nie będę cię mógł wprowadzić do swego otoczenia.

Popatrzyła na niego z przerażeniem i wyjąkała:

— Wiem teraz wszystko—o s z u k a ł e ś mnie! Chciałeś tylko wyłudzić tajemnicę skarbu!

— Rodriganda nie oszukuje nigdy, może tylko wyprowadzić w pole! Skarb należy do mnie i jeżeli nie będziesz posłuszna, nie dotrzymam obietnicy małżeństwa.

Karja wydała okrzyk przerażenia:

— Kłamco, oszuście!

Hrabia przeląkł się tych słów. Z korytarza słychać było jakieś kroki. Opadła go nagła, nieopisana trwoga; zaczął uciekać z całych sił ku służbie, która oczekiwała swego pana. Karja, chwając się, weszła do domu i zemdlna padła w objęcia Arbelleza.

Arbellez zwołał wszystkich domowników. Brakowało tylko Ungera i Bawolego Czoła, lecz, w ogólnem podnieceniu, nikt w pierwszej chwili nie zauważył ich nieobecności.

Emma klęczała przy zemdlonej. Po chwili Karja otworzyła oczy i podniosła się na równe nogi. Oblana ponsem, zaczęła głośno krzyczeć:

— Kto pójdzie ze mną, by schwytać i zabić hrabiego, tego kłamcę i zdrajcę! Ten łotr chce zrabować skarby królewskie. Pojechał po nie na górę Reparo!

— Nieba!—zawołała Emma. — Przecież Unger i Te-calto udali się tam również! Nie powinnam tego mówić, ale muszę, muszę...

— To straszne! Hrabia zabije Ungera i mego brata! Don Pedro, trzeba zatrzeć na trwozę. Niech przybędą tu wszyscy vaquerzy i cibolerzy! Muszą pędzić na ratunek!

Wśród ogólnego zamieszania tylko wódz Apaczów zachował spokój. Jego oczy z upodobaniem spoglądały na Karję, która teraz, w gniewie i podnieceniu, okazywała się zupełną Indjanką. Wkońcu zapytał:

— Kto wie, gdzie leży grota?

— Ja!—odpowiedziała Karja.—Zaprowadzę was!

— Czy można tam dotrzeć konno?

— Tak jest!

Apacz zwrócił się do Arbelleza:

— Zabieram tę dziewczynę i jednego vaquera. Będzie nas troje przeciw trzem wrogom.

— Jadę z wami!—zawołał Arbellez.

— Nie!—odpowiedział Apacz.—A któż będzie strzegł domu? Jeden vaquero wystarczy; reszta zostanie w hacjendzie.

Don Pedro wyszedł, a po chwili zjawił się jeden z vaquerów. Karja wskoczyła na konia, poczem ruszył

wszyscy troje. Z powodu ogólnego zamieszania jednak, pora odjazdu przeciągnęła się nieco.—

Na kilka godzin przedtem Bawole Czoło wszedł do pokoju Ungera.

— Czyś gotów?—zapytał.

— Tak!

— Włęcz chodźmy!

Unger wziął broń i wyszli.

Na dole stały trzy konie. Dwa okulbaczone dla jeźdźców, trzeci juczny.

— Naco ten trzeci koń?—zapytał Unger.

— Powiedziałem już, że nie jesteś ubogi. Nie chciałeś zrabować skarbu królewskiego, dlatego będziesz mógł z niego tyle, ile jeden koń udźwignąć potrafi.

— Co znowu!—zdziwił się biały.

— Nie zastanawiaj się teraz nad tem, tylko na koń i w drogę!

Miksteka dosiadł konia, ujął jucznego za cugle i ruszył przodem. Traper za nim. Noc była niezwykle ciemna. Indjanin znał drogę, a i półdzikie konie meksykańskie widzą w nocy doskonale. — Jechali oczywiście dosyć wolno, gdyż droga szła wśród gór.

Bawole Czoło milczał jak zakłęty. Słysząc było tylko miarowe kroki i parskanie koni. Tak upłynęło kilka godzin. Wreszcie przybyli do jakiegoś strumienia i ruszyli jego korytem. Po chwili wyrosła przed nimi szeroka góra.

Indjanin zsiadł z konia.

— Zaczekamy tutaj, aż dzień nastanie, — powiedział.

Unger zeskoczył z siodła, puścił konia wolno i usiadł obok towarzysza na kamieniu.

— Czy jesteśmy wpobliżu groty?

— Tak jest. Tam, gdzie ten strumień wypływa z góry, trzeba wejść do wody, schylić się, paść na ziemię, przeczołgać przez otwór i wtedy jesteśmy w grocie, o której nikt nie wie, oprócz Karji i mnie.

— Czy na Karję można liczyć?

— Ona milczy!

Unger przypomniał sobie rozmowę z Emmą i rzekł:

— Ale jest ktoś, kto chce od niej wydobyć tajemnicę skarbu: hrabia Alfonso.

— Uff!

— Jesteś moim przyjacielem i dlatego mogę ci powiedzieć, że go kocha.

— Wiem o tem.

— A jeżeli zdradziła hrabiemu tajemnicę?

— To jest tu jeszcze Bawole Czołol! Nie dostanie nic ze skarbu!

— Czy skarb jest wielki?

— Zobaczysz. W każdym razie mogę ci powiedzieć, że złoto całego Meksyku niewarte jego dziesiątej części. Był jeden biały, który skarb widział...

— Zabiliście go?

— Nie! Nie trzeba było zabijać, bo oszalał, oszalał z zachwytu. Biały m szkodzi widok takiego bogactwa; tylko Indianie posiadają odpowiednią wytrwałość ducha i zmysłów.

— A mnie chcesz go pokazać?

— Nie! Pokażę ci tylko część jego. Kocham cię i nie

chcę, byś i ty oszalał. Daj mi swą rękę, chcę zbadać puls.

Indjanin ujął rękę białego, namacał puls, poczem rzekł:

— Tak, tyś silny niezwykle. Duch złota jeszcze cię nie ogarnął, ale tam, w pieczarze, krew twoja walić będzie jak wodospad górski.

Zamilkli. Ungerowi dziwnie jakoś zrobiło się na duszy, jak nigdy dotąd. Tymczasem zaczęło świtać. Pierwsze błyski słońca rozpraszały mrok; można już było rozróżniać poszczególne przedmioty.

Unger ujrzał górę El Reparo, stoki pokryte dąbrową. U stóp jej płynął strumień, szeroki na metr, głęboki na jakieś półtora.

— Więc tu jest wejście?—zapytał.

— Tak — brzmiała odpowiedź. — Ale nie wchodźmy jeszcze! Trzeba ukryć konie. Właściciel skarbu musi być ostrożny.

Znaleźli zarośla i ukryli konie. Potem wrócili do strumienia, zatarłszy ślady zwyczajem indjańskim. Stali już u skały, z której strumień wypływał.

— Chodźmy! — rzekł Bawole Czoło, wchodząc do wody.

Jakiś czas posuwali się pod górę aż weszli w ciemną grotę; powietrze było w niej suche, mimo że w dole płynął strumień.

— Podaj mi rękę—rzekł Indjanin i wyprowadził z wody traperą, biorąc go za puls.

— Serce masz mocne! A więc zapalę pochodnię.

Odszedł o parę kroków. Po chwili Unger zobaczył

bląde, fosforyzujące światło i usłyszał coś w rodzaju syku, poczem zapłonęła pochodnia.

Ale cóż to się dalej stało? Nie, to nie jedna zapłonęła pochodnia, to tysiące ich zaświeciły nagle. Wydało się Ungerowi, że stoi pośrodku olbrzymiego, jaszkrawo błyszczącego słońca, a wśród tych niezliczonych blasków i lśniń, oślepiających oko nieoswojone, rozległ się głos Indjanina:

— Oto grota skarbów królewskich! Bądź silny, mocno panuj nad swoją duszą!

Z trudnością przyzwyczał się Unger do wspaniałego blasku.

Grota tworzyła bardzo wysoki czworokąt sześćdziesięciu kroków krawędzi. Na dole płynęła woda. Cała grota, aż po sklepienie, wypełniona była kosztownościami, lśnjącymi tysiącami barw.

Były tu obrazy święte, wysadzone najcudowniejszymi klejnotami, a wśród nich postacie boga powietrza Kwezalkoatl, Stwórcy Tezkatlipoka, boga wojny Huicylipochtli i małżonki jego Teoyaniki, bogini wody Czalcziukueja, boga ognia Ixkozauhki i boga wina Cenzontochtin. Pod ścianami stały setki bogów domowych, posągi z najszlachetniejszych metali, albo z toczonego kryształu. Rzędami stały pancerze bojowe, całe ze złota, naczynia złote i srebrne, naszyjniki z djamentów, szmaragdów, rubinów i innych drogocennych kamieni, noże ofiarne o wspaniałych rękojeściach, skóry zwierząt oprawne w złote ramy. Pośrodku sklepienia wisiało coś, co robiło wrażenie świecznika; była to korona królewska w kształcie czapki, złota, wysadzana djamentami. Dalej leżały całe wory pełne sztab, złota

i proszku złotego; stały skrzynie naładowane nuggetami, niejednokrotnie wielkości kurzego jaja. Obok piętrzyły się stosy srebra. Stoły się uginały pod miniaturami świątyń meksykańskich Cholula i Teotihuakan; na ziemi zaś i po kątach jarzyło od mozaik wspaniałych ze złota, srebra, kamieni drogocennych i pereł.

Widok ten wprost oszołomił Ungera. Miał wrażenie, że jest księciem z tysiąca i jednej nocy. Napróżno skupiał całą siłę woli, aby nie stracić równowagi; krew biła mu w skroniach, wszystko kręciło się w oczach. Stał jakby we śnie; rozumiał, że widok takich bogactw może obudzić pożądanie, które nie cofnie się nawet przed zbrodnią.

— Tak, to skarb królewski! — powtórzył Indjanin. — Należy tylko do mnie i Karji, ostatnich potomków Miksteków!

— Jesteś bogatszy, niż wielu książąt!

— Mylisz się! Jam biedniejszy od ciebie i innych. Jestem wnukiem władcy, którego panowanie bezpowrotnie minęło, którego państwo leży w gruzach. Gdzie są wojownicy nasi, którzy nosili te zbroje? Gdzie domy, w których żyliśmy w spokoju? Biali zniszczyli je do cna. I oto my, wnukowie najpotężniejszych, musimy tułać się po lasach i prerjach, musimy trudnić się łowami na bawoły. Przyszedł biały. Kłamał i oszukiwał, mordował i szerzył zbrodnię w moim narodzie — wszystko dla tych skarbów! Zwyciężył, lecz kraj stoi pustką! Ziemi woleliśmy oddać skarby, niż mordercem! — Tyś inny, niż oni wszyscy, serce twe czyste i szlachetne. Uratowałeś mą siostrę, jesteś mi bratem; dostaniesz tyle skarbów, ile koń udźwignąć potrafił. Wybieraj z po-

śró d ziarn złotych, których widzisz całe wory, z pośró d łańcuchów, pierścieni i kosztowności, — wybieraj! Ale tylko z tych skarbów, wszystkie zaś inne są święte i niechaj nigdy nie padnie na nie blask słońca, widziały bowiem upadek Miksteków!

Unger dostał zawrotu głowy.

— Ależ ty setki tysięcy dolarów mi darowujesz!

— Nie; to warte miliony!

— Nie mogę tego przyjąć!

— Dlaczego? Przecież to dar przyjaciela.

— Nie chcę ciebie obdzierać.

Indjanin wyniośle poruszył głową.

— To nie rabunek i żadna z mej strony ofiar! To przecież tylko część skarbów, jakie kryje El Reparo. Są tu inne jeszcze groty, o których nie wie nawet siostra moja Karja. Tylko ja jeden je znam i z moją śmiercią zejdzie do grobu ich tajemnica. — Odchodzę, by do nich zajrzeć. Przyjrzyj się skarbowi i odłóż te, które wziąć zechcesz. Gdy wrócę, naładujemy wszystko na konie i powrócimy do hacjendy.

Po tych słowach umocował pochodnię w ziemi i wnet się oddalił.

Unger stał sam wśród niezmiernych skarbów.— Jak bezgraniczne zaufanie miał do niego ten Indjanin! Mógłby go przecież zabić. Nie, nawet choćby tylko podświadomie, myśl ta nie opanowała Ungera. Miał przecież dosyć tego, co mu ofiarowywał Tecalto.—

Tymczasem hrabia Alfonso odbywał drogę wraz ze swą służbą. Strach przed skutkami nieostrożności pędził go naprzód. Był wprawdzie bratankiem hrabiego Fernanda, właściwego posiadacza hacjendy, ale czemże

to było tutaj, na granicy indjańskiej? O jednym tylko myślał: zabrać skarb i uciec do Meksyku!

Alfonso znał dobrze górę, wskazaną przez Karję, ale nie ten jej stok, przy którym groty szukać należało. Nie wiedział więc, jak jechać; orjentował się tylko według kierunku; wyprawa posuwała się tedy powoli.

Nareszcie ze świtem dotarli do podnóża góry. Przekroczyli pierwszy strumień; przy drugim hrabia polecił, aby się zatrzymano. Nie chciał zabierać służby do podziemia.

— Cóż teraz?—zapytał jeden z domowników.

— Zaczekacie tutaj!

— Jakto, hrabia nas opuszcza?

— Na krótką chwilę.

Alfonso oddalił się konno w kierunku drugiego strumienia. Tu zsiadł z wierzchowca i, przywiązawszy go do drzewa, badał teren. Po chwili wszedł do lodowatej wody, schylił się i zaczął pełzać na czworakach. Jeszcze nie doszedł do punktu, w którym rozpoczynała się grotą, gdy nagle zobaczył snop światła.

— Cóż to być może?—pomyślał. — Skąd to światło pochodzi? Czy promienie słońca przebijają się poprzez szczeliny?

Wszystko przemawiało za tem, że blask, który ujrzał, szedł od pochodni, lecz hrabia nie cofał się—pełzał dalej.

Nagle uderzyły go w oczy złote i djamentowe błyskawice. Przeraził się, skoczył na równe nogi.— Był w środku groty. — Drżał na całym ciele, potęga złota chwyciła go w swe szpony. Oczy zamigotały błędnymi ogniami. Omal nie zaczął krzyczeć z radości, lecz —

nagle opamiętał się, zamarł z przerażenia: o pięć kroków przed nim klęczy ktoś, przetrząsając skarby. Teraz się obraca! Poznaje go—to Unger!

— Ciekawa rzecz, czy jest tu sam, czy też z kimś jeszcze?—myślał hrabia.

Oko jego szybko badało grotę.

Nie wiedząc, że Bawole Czoło opuścił na chwilę towarzysza, Alfonso sądził, że Unger jest sam.

— Nic nie zabierze ze skarbu. Zemszczę się teraz na nim! Zabiję go, jak psa!

Cicho, bez szelestu, wyszedł z wody. Tuż obok stała maczuga wojenna, wyciosana z mocnego drzewa, nabita ostro szlifowanymi kryształami. Chwycił ją za rękojeść, ozdobioną szlachetnymi kamieniami, i stanął za plecami Ungera, który z zachwytem ważył w rękach precudnie wykuty łańcuch.

— To cud!—szeptał Unger. — Wystarczą rubiny tego łańcucha, aby obrócić mię w bogacza!

W tej samej chwili dostał w głowę cios tak potężny, że zwałił się na ziemię, wypuszczając z ręki kosztowny łańcuch.

Hrabia wydał dziki okrzyk triumfu.

— Zwyciężyłem! Wszystko, wszystko, należy do mnie!

Opanowała go radość, granicząca z szaleństwem. Zaczął klaskać w dłonie, biegać po grocie, jak nieprzytomny.

Nagle stanął, jak wryty; miał przez chwilę wrażenie, że widzi upiora. Ktoś patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.—Nie, to nie mara, to Bawole Czoło!

Dwoma susami skoczył Miksteka do hrabiego, chwycił go za gardło i zapytał:

— Psie przeklęty, co tu robisz?

Alfonso nie mógł wydobyć słowa. Czuł, że nadeszła ostatnia godzina. Był zgubiony! Przejęto go straszliwe zimno; dygotał, jak w febrze.

— Zabiłeś go? — krzyknął Bawole Czoło, wskazując na Ungera i porzuconą maczugę. Chwycił przytem hrabiego za kark, jak szczenię.

— Tak, zabiłem! — jęknął hrabia w najwyższym przerażeniu.

— Dlaczego?

— Wszystkiemu winne te skarby! — mamrotał.

— Pah! Byłeś jego wrogiem! Już dawno życzyłeś mu śmierci. Biada ci, potrzykroć biada!

Indjanin schylił się nad Ungerem, hrabia stał nieruchomo. Mógłby przecież chwycić za maczugę i przynajmniej spróbować walki?

Nie miał jednak siły; był zdruzgotany, rozbity.

— Nie żyje! — powiedział Bawole Czoło, prostując się. — Odbędę sąd nad tobą; zgotuję ci śmierć, jaką nikt jeszcze nie umarł. Jesteś mordercą najdzielniejszego jeźdźca. Śmierć twa będzie tysiąckrotną!

Miksteka stanął z hrabią oko w oko. Muskuły zaczęły mu się prężyć.

— Drżysz, jak w febrze, — rzekł do Alfonsa z pogardą. — Tyś podły, mizerny robak! Kto zdradził ci drogę do grotty?

Alfonso milczał. Miał wrażenie, że jest na sądzie ostatecznym.

— Odpowiadaj! — krzyknął Indjanin.

— Karja — wyszeptał hrabia.

— Karja? Moja siostra?

— Tak.

— Mówisz prawdę, czy łżesz? — oczy Miksteki niesamowicie błyszcząły. — Może w ten sposób chcesz uniknąć kary?

— Mówię szczerą prawdę.

— Musiałeś użyć czarodziejskich sztuczek, by wyrwać jej tajemnicę El Reparó. Udawałeś przed nią miłość?

Hrabia milczał.

— Mów! Tylko prawda może ci jeszcze ulżyć. Czy wiesz jaką śmierć ci gotuję? Tam w górach leży niewielka sadzawka; w niej pływa dziesięć świętych krokodyli. W ich brzuchach zginęło już wielu zbrodniarzy. Mają przeszło sto lat, oddawna zaś nic nie jadły. Zawlokę cię na górę, powieszę na drzewie; krokodyle będą się starały ściągnąć cię z drzewa. Będą wprost się biły o ciebie, będziesz wdychiwał smród tych bestyj; będziesz wisiał tak nad niemi dnie i noce. Spali cię słońce, wyschniesz z głodu i pragnienia; a dopiero, gdy zgnije twój trup, spadniesz z drzewa i pożrą cię aligatory.

Alfonso słuchał z oczami wbitemi w słupek. Język mu skołowaciał. Nie mógł wydobyć słowa prośby.

— A więc—powtórzył Indjanin—tylko zupełna szczerść może jeszcze los twój złagodzić.—Mów: zapewniasz siostrę moją, że ją kochasz?

— Tak.

— Lecz nie kochasz jej?

— Nie—odparł hrabia. Nie miał odwagi skłamać.

— A ona kocha cię?—pytał dalej Miksteka.

Alfonso skinął twierdząco głową.

- Gdzie mieliście schadzki tajemne?
- W gaju oliwnym za folwarkiem.
- Czyś obiecał jej małżeństwo?
- Tak.
- Kiedy zdradziła ci tajemnicę?
- Wczoraj wieczorem.
- Czy jesteś tu sam?
- Nie; w towarzystwie dwóch służących.
- Mieli ci pomóc w wyniesieniu skarbów? Zdradziłeś im tajemnicę?
- Nie mają pojęcia, co mieli nosić. Nie wiedzą również, gdzie leży grota.
- Gdzież są?
- Niedaleko stąd.
- Więc chodźmy do nich. Chwilowo cię nie związę, bo i tak mi nie uciekniesz. Jesteś marnym robakiem, którego jednym ruchem zgmiotę!
- Co masz zamiar uczynić ze mną?
- Dowiesz się później.

Bawole Czoło ujął hrabiego za ramię i wyprowadził z groty. Weszli do wody; niska jej temperatura oraz świeże powietrze podziały na Alfonso orzeźwiająco. Wstąpiła w niego otucha; zaczął wierzyć, że nie wszystko jeszcze stracone.

- Gdzie twój koń?—zapytał Indjanin.
- Na prawo stąd, umocowany do dębiny.
- A twoi ludzie?
- Tam, za pagórkiem.
- Chodź do konia!

Skoro doszli do miejsca, w którym hrabia zostawił konia, Bawole Czoło związał Alfonsowi kilka

rzemieniami ręce na plecach, skrępował mu nogi i zakneblował usta. Alfonso nie opierał się. Odebrawszy hrabiemu broń, wódz Miksteków poczołgał się cicho do miejsca, w którym służba czekała na swego pana. Obydwaj słudzy siedzieli na ziemi, prowadząc ożywioną rozmowę.

— Uff, są za blisko skarbu. To niebezpieczne. Muszą umrzeć!

Z zimną krwią zdjął strzelbę, zabraną przed chwilą hrabiemu, i wycelował. Jeden i drugi strzał z dwururki i obaj słudzy legli, trafieni w skroń. Bawole Czoło podszedł do nich i, przekonawszy się, że nie żyją, wrócił do swego jeńca.— —

SADZAWKA KROKODYLI.

Tymczasem Apacz wraz z Karją i vaquerem zbliżali się również do El Reparó. Spóźnili się bardzo, Indjanka bowiem zbłądziła wśród nocy.

— Oto strumień — rzekła Karja do Niedźwiedziego Serca.—Już niedaleko do grotu.

Apacz szukał czegoś na ziemi.

— Uff!—rzekł, wskazując na ślady, — hrabia jechał tędy ze swoimi ludźmi. Musimy ostrożnie postępować.

Ruszyli dalej. Wódz na czele. Nagle zatrzymał się, ujrawszy muły, pasące się spokojnie w krzakach. Zeskoczył z konia. Dając znak ręką, by czekano na niego, znikł w zaroślach. Po chwili wydał okrzyk zdziwienia. Karja i vaquero już byli przy nim. Na ziemi leżały trupy zabitych służących. Zeskoczyli wszyscy z koni.

— To służba hrabiego!—zawołała Karja. — Kto zabił tych ludzi?

Apacz szczegółowo badał ziemię. Teraz posunął się nieco dalej, przeszukał sąsiednie krzaki i, zwracając się do Karji, rzekł:

— Tecalto.

Dosiadł konia i ruszył przodem. Karja i vaquero za nim. Jeszcze nie dotarli do miejsca, gdzie leżał jeniec, gdy stanął przed nimi jakiś człowiek. Był to Bawole Czoło.

Słyszał stuk kopyt końskich i wyszedł naprzeciw. Rozpoznawszy siostrę i Niedźwiedzie Serce, wystąpił z krzaków.

— Uff! Tecalto!—rzekł Apacz. — Gdzie jest Piorunowy Grot?

— Zabity—brzmiała odpowiedź.

— Kto go zabił?—syknął Indjanin strasznym głosem.

— Hrabia Alfonso.

— Gdzie?

— Tego nie mogę tutaj powiedzieć — odparł Bawole Czoło, wskazując wzrokiem pastucha. — Chodźcie do hrabiego. Pojmałem go.

W oczach Alfonsa wyraźnie widniał przestach. Lecz ani Karja, ani Niedźwiedzie Serce nie obdarzyli go nawet spojrzeniem wzgardy. Miksteka zwrócił się do wodza Apaczów:

— Niech mój brat pilnuje tego człowieka, dopóki nie wrócę.

Oddalił się, aby zajrzeć do groty. Odrazu zauważył, że Unger leży w innej pozycji, niż przedtem. Ujął więc za puls. Serce biło! Unger oprzytomniał zapewne na chwilę i poruszył się; teraz leżał znowu zupełnie nieruchomo. Bawole Czoło wyniósł go ostrożnie z groty i ułożył na trawie, przy jeńcu.

Apacz chwycił za strzelbę.

— Jeżeli umrze mój biały brat — rzekł — biada mordercy! Niechaj dzikie bestje rozszarpią jego ciało, Shosh-in-liett, wódz Apaczów, to powiedział. Howgh!

Nachylił się nad Ungerem.

— Ma straszną ranę w głowie. Czaszka zgruchotała! Trzeba sporządzić nosze i przenieść go do hacjendy.

Ja tymczasem poszukam zioła oregano, które leczy każdą ranę, usuwa każdą gorączkę.

Podczas gdy vaquero oddalił się, aby upleść nosze, a Apacz szukał rośliny, Bawole Czoło został sam ze siostrą.

— Gniewasz się na mnie?—zapytała cicho.

Tecalto nie spojrział nawet na nią, rzekł tylko:

— Dobry duch opuścił córkę Miksteków.

— Tylko na niedługi czas!

— Ale w czasie tym stało się wiele smutnych rzeczy. Czy kochałaś hrabiego?

— Tak.

— Czy wierzyłaś, że jest ci wzajemny?

— Tak.

— I wierzysz, że chciał cię uczynić swą małżonką?

— Tak. Mam na to pismo od niego.

— Uff! Masz je jeszcze?

— Leży w moim pokoju.

— Czy dasz je swemu bratu?

— Weź je! Czy mi przebaczysz?

— Przebaczę ci, jeżeli będziesz we wszystkim posłuszna.

— Będę posłuszna! Cóż mam uczynić?

— O tem dowiesz się później. A teraz siadaj na konia i wracaj do hacjendy. Powiedz tam wszystkim Indianom, którzy są dziećmi Miksteków, by tu przybywali co prędzej. Powiedz im, że wódz ich, Tecalto, tak rozkazał, a wtedy przybędą na pewno!

— Już jadę.

Dosiadła konia i pomknęła, jak strzała.

Po upływie jakiegoś kwadransu wrócił Niedźwie-

dzie Serce z ziołami; wycisnąwszy ją, owiązał liśćmi głowę przyjaciela.

Vaquero przygotował tymczasem z gałęzi i koców zabitych służących miękkie, wygodne nosze. Umieściwszy je na dwóch koniach, złożono na nich Ungera.

— A co będzie z hrabią?—zapytał vaquero.

— Należy do mnie — odparł Bawole Czoło. — Pojedziesz z Piorunowym Grotem do hacjendy. Niedźwiedzie Serce zaś zostanie ze mną.

Vaquero oddalił się z rannym Ungerem. Obydwaj Indianie milczeli przez dłuższą chwilę. Wreszcie Bawole Czoło przeciął więzy, krępujące nogi hrabiego. Gdy jeniec wstał, Tecalto przywiązał go rzemieniem do swego konia. Poczem rzekł do Apacza:

— Niech mój brat jedzie za mną.

Dosiedli koni i ruszyli.

Można sobie wyobrazić, jakie męki zaczęły się teraz dla hrabiego, który musiał biec za koniem. Po jakiejś godzinie wjechali do gęstego dziewiczego lasu. Pośrodku wznosiły się mury starożytnej świątyni Azteków. Był tu kiedyś gmach w kształcie piramidy, otoczonej krużgankami i grubym murem. Teraz leżał w gruzach. W jednym z krużganków utworzyła się sadzawka. Tam zaprowadził Bawole Czoło przyjaciela swego i jeńca.

Sadzawka z biegiem czasu przekształciła się w rodzaju małego jeziora, nad którym rosły wysokie drzewa. Tutaj zeskoczyli obaj wodzowie z koni. Miksteka usiadł wśród wysokiej trawy i skinął na Apacza, by zajął obok miejsce. Po dłuższym milczeniu Bawole Czoło zapytał:

— Czy brat mój kocha człowieka, zwanego Piorunowym Grotem?

— Kocham—odparł Apacz krótko.

— Ten biały chciał go zabić.

— Jest mordercą, mój biały brat bowiem może umrzeć.

— Jaka jest kara dla mordercy?

— Śmierć!

— Niech więc śmierć poniesie.

Znowu nastąpiła długa chwila milczenia; potem Bawole Czoło zaczął na nowo:

— Czy brat mój zna naród Miksteków?

— Znam.

— Był najbogatszym w Meksyku.

— Tak; miał skarby ogromne.

— Czy brat mój wie, co się z nimi stało?

— Nie wiem.

— A czy wódz Apaczów zachowa milczenie?

— Usta jego są jak zamknięta studnia.

— Dowie się więc, że Bawole Czoło jest tym, który strzeże skarbu.

— Niechaj mój brat, Bawole Czoło, zniszczy te skarby. W złocie mieszka zły duch. Gdyby ziemia była cała ze złota, wolałby Serce Niedźwiedzie raczej śmierć, aniżeli życie.

— Brat mój posiada mądrość starych wodzów. Ale inni ludzie kochają złoto. Ten hrabia przybył tutaj, aby skarb zrabować.

— Uff! Któż wskazał mu drogę?

— Karja, córka Miksteków.

— Karja? Siostra Bawolego Czoła? Uff!

— Tak — ponuro odparł Bawole Czoło. — Dusza jej była niewinna, zaćmiła ją miłość do białego kłamcy. Przyrzekł siostrze Tecalty, że ją pojmie za żonę, lecz chciał tylko zabrać skarb, a potem Karję opuścić.

— Hrabia jest oszustem!

— Jaka jest kara dla oszusta?

— Śmierć!

— A jaka dla oszusta, który równocześnie jest mordercą?

— Śmierć podwójna.

— Mój brat dobrze powiedział

Znowu zapanowało milczenie. Obydwaj Indianie sprawiali wrażenie straszliwego, nieubłaganego trybunału, od wyroków którego niema apelacji. Miksteka sam dałby sobie radę z hrabią, lecz wziął ze sobą Apacza, by zemście swej nadać formy prawa. Teraz tworzyli obaj sąd prerjowy, którego tak bardzo lękają się przestępcy.

Mówili narzeczem Apaczów, a więc Alfonso ich nie rozumiał; czuł jednak instynktownie, że los jego rozstrzyga się w tej chwili. Dygotał ze strachu na myśl o krokodylach, o których mówił Bawole Czoło.

Bawole Czoło zapytał znowu:

— Czy brat mój wie, gdzie znaleźć można śmierć podwójną?

— Niech mi to powie wódz Miksteków.

— Tam! — Bawole Czoło wskazał na wodę.

Apacz nie rzucił nawet spojrzeniem we wskazanym kierunku, zapytał tylko, jakby to było zupełnie naturalne:

— Krokodyle tam mieszkają?

— Tak. Zobaczysz je!

Miksteka podszedł ku sadzawce, wyciągnął ramiona i zaczął wołać:

— Nika n! Tlatlakal!—Chodźcie tu!

Na to wołanie coś poruszyło się w wodzie. Po chwili wypłynęło na brzeg z dziesięć krokodyli. Były to bestje długości jakichś czterech metrów. Ciała ich przypominały konary pokryte mułem, głowy wyglądały potwornie; otwierały co chwila swe paszcze, pokazując straszliwe kły. Widać było, że są głodne.

Hrabia wydał okrzyk przerażenia.

Obydwaj Indianie obrzucili go spojrzeniem, pełnym najwyższej pogardy. Indianin bowiem nie ruszy powieką nawet wtedy, gdy cierpi najsroźsze męki. Wierzy w to, że ktoś, kto przy palu męczeńskim wyda choćby jeden, jedyny jęk boleści, nigdy nie dostanie się do Wiecznych Ostępów, jak czerwoni nazywają niebo. Dlatego już dzieci przyzwyczajają się, aby bez jęku znosiły bóle. Dlatego też niemal wszyscy czerwoni pogardzają białymi, którzy bezporównania gwałtowniej reagują na cierpienia wszelkiego rodzaju.

— Czy widzisz te wspaniałe okazy? — pytał Bawole Czoło.—Żaden z nich nie liczy mniej niż dziesięć razy dziesięć zim. — A tu masz lassa, które przyniosłem ze sobą. Zabrałem je służącemu hrabiego.

— Rozumiem mego brata—odparł Niedźwiedzie Serce krótko.

— Jak sądzisz, czy wysoko może skoczyć krokodyl ponad powierzchnię wody?

— Tak. Na jeden metr, jeśli ciałem nie dotyka dna jeziora.

— A jeśli dotyka ogonem?

— Wtedy może na podwójną wysokość podskoczyć.

— Doskonale! Weźmy półtora metra. W takim razie nogi tego człowieka będą na wysokości półtora metra ponad wodą. Kto wdrapie się na drzewo? Ja, czy ty?

— Ja — odpowiedział Apacz.

Po tej rozmowie obydwaj podnieśli się z ziemi, podeszli do hrabiego i, przeciągnawszy mu łąso podwójnie pod ramionami, związali Rodrigandzie ręce na plecach. Do łąso, którem Alfonso był przepasany, umocowano dwa inne; końce ich ujął w ręce Apacz i zaczął wspinać się na drzewo.

Hrabia zrozumiał, że taniec się zaczyna. Pot krop-listy wystąpił mu na czoło, w oczach zaczęło wirować,

— Litości, litości!—zajęczał.

Obydwaj sędziowie nie zwracali na te jęki najmniejszej uwagi.

— Litości! Uczynię wszystko, czego zażądacie, tylko nie wieszajcie mnie nad temi krokodylami! Litości!

I na to pozostali głusi surowi sędziowie. Bawole Czoło ujął hrabiego za ramię i ciągnął w kierunku drzewa.

— Litości! Dam wam wszystko, hrabstwo całe, wszystkie posiadłości, całą Rodrigandę. Zrezygnuję ze wszystkiego co mam, tylko darujcie mi życie!

Teraz dopiero przemówił wódz Miksteków:

— Czemże jest dla nas Rodriganda, hrabstwo twoje, czem wszystkie twoje włości! Widziałeś skarby Miksteków, a jeszcze masz czelność ofiarowywać mi swą nędzę? Spójrz lepiej na te bestje, które nigdy dotąd nie jadły żadnego białego hrabiego. Dopóki starczy ci sił, będziesz mógł podciągać wgórę nogi, by ich nie urwały

bestje, lecz gdy słabnąć zaczniesz, urwą ci je z pewnością i zdechniesz, jak pies; trup twój zgnije, spadnie do wody i wtedy pożrą go z rozkoszą. Oto jaki jest koniec białego hrabiego, który w pogardzie swojej chciał oszukać Indjankę!

— Litości! — skomlał Alfonso w śmiertelnym strachu.

— A ty, czy miałaś litość, gdyś ranił serce Indjanki? Zresztą, czy to jedyny twój występki? Wahkonda nie pozwolił, aby człowiek wiedział wszystko. Nie znam twego życia, ale przysiągłbym, że wiele złego rozpleniał. Krokodył cię pożrą, chociaż tyś nędzniejszy, aniżeli te zwierzęta. Wahkonda życie dał im, aby karmiły się padliną, ale człowieka stworzył na to, aby krzewił dobro. A twoja dusza jest stokroć podlejsza od duszy tych zwierząt!

Po tych słowach przyciągnął Alfonsa, który bronił się rozpaczliwie, tuż nad wodę. Opór hrabiego pokonał, wiążąc mu nogi rzemieniem.

— Litości! Zmiłowania! — jęczał Rodriganda.

Nic to nie pomogło. Bawole Czoło zaniósł go pod drzewo, Apacz wspiał się tymczasem na nie, trzymając lasso w zębach. Umocowawszy rzemienie na gałęziach, zaczął zapomocą lassa podciągać do góry swą ofiarę. Pomagał mu Bawole Czoło. Wszystko szło wolno, ale sprawnie.

Hrabia jęczał bez przerwy. W pierwszej chwili zawołał:

— Puśćcie mnie, puśćcie! Będę wam służył jak ostatni pies, jak ostatni niewolnik!

— Tylko hrabia ma niewolników, my, wolni Indjanie, nie znamy ich!

Widok aligatorów przerażał. Sadržawka była dla nich za mała, a przytem brak było pożywienia. Z tego powodu już zaczęły pożerać się wzajem, tak, że jednemu brakowało nogi, drugi zaś miał wydarty kawał siał. Wietrząc ofiarę zebrały się wszystkie pod drzewem. Machając olbrzymiemi ogonami, pożerały hrabiego pożądlwym, głodnym wzrokiem, otwierały i zamykały szczęki. Kłapanie to było niezwykle hałaśliwe; zdawało się, że ktoś uderza mocnemi, drewnianemi deskami.

Alfonso szalał:

— Puśćcie mnie, bestje, łajdakil

— Mój brat niech ciągnie mocniej — zawołał Bawole Czoło do Apacza.

— Bądźcie przekłęci na wieki! — wołał Alfonso.

— Wystarczy — rzekł Bawole Czoło, mierząc okiem znawcy odległość gałęzi od wody i porównyując ją z długością lassa. — Mój brat otoczy gałąź lassem i zacieśni węzeł!

Apacz wykonał polecenie. Bawole Czoło trzymał dotychczas jedną ręką swego jeńca, drugą zaś podpierał drzewo, na które wdrapał się Apacz. Wymagało to niezwykłej siły.

Nadeszła chwila decydująca.

Hrabia ryczał nieludzkim głosem:

— Wyście nie ludzie, djabły wcielone!

— Nie; właśnie jesteśmy ludźmi, którzy djabłu wymierzają sprawiedliwość, — odpowiedział Bawole Czoło. — Jazda!

Rozległ się przeraźliwy krzyk. Bawole Czoło wypuścił bowiem hrabiego z ręki, potężnie go trąciwszy. Hrabia, przywieszony do drzewa, znalazł się nad wodą. Kołysał się na lassic tam i zpowrotem, a ile razy zbliżał

się w tem kołysaniu, podobnem do ruchu wahadłowego, nad powierzchnię wody, krokodyłe podskakiwały do góry, by go schwycić.

— Wszystko w porządku—rzekł Bawole Czoło.

Obydwaj Indianie stanęli na brzegu i przyglądali się, jak kołys hrabiego, zawieszzonego na lassie, coraz bardziej powolniał, aż wreszcie skazaniec zawisł na gałęzi w pozycji pionowej.

Okazało się, że Bawole Czoło świetnie wszystko wymierzył i przewidział. Hrabia wisiał w ten sposób, że krokodyłe mogły go w każdej chwili chwycić za nogi. Musiał je więc podciągać do góry, gdy się tylko która z bestyj zbliżała. Było jasne, że w miarę wycieńczenia, zwierzęta zaczną go pożerać kawałkami. Wiele zgrzeszył w swem życiu hrabia Alfonso, ale ta śmierć okrutna była chyba zapłatą za wszystkie jego przewiny.

— Sprawa skończona, wracamy, — rzekł Apacz, sam przejęty strasznym widokiem.

— Idę za mym przyjacielem — odparł Bawole Czoło.

Odprowadził ich nieludzki ryk skazanego na śmierć.—

Gdy przybyli do ujścia strumienia, znaleźli tam znaczną siłę Indian, przystanych przez Karję. Wszyscy należeli do przeznaczonego na zagładę szczepu Miksteków. Bawole Czoło zwrócił się do Apacza z następującymi słowy:

— Dziękuję memu bratu, że pomógł mi odbyć sąd nad bladą twarzą i ukarać ją. Niechaj wraca do hacjendy i czuwa nad raną Piorunowego Grotu. Ja przybędę tam dopiero jutro, gdyż tutaj czeka mnie jeszcze wielka praca.

Niedźwiedzie Serce udał się natychmiast w powrotną drogę.—

Bawole Czoło skinął na pozostałych Indjan. Otoczyli go kołem, czekając na rozkazy. Wódz przemówił do nich:

— Jesteśmy synami szczepu, który musi zginąć. Błede twarze przynoszą nam śmierć. Szukają naszych skarbów, ale dotychczas nie zdobyli ich. Ojcowie wasi pomogli mym przodkom ukryć te skarby i nikt z nich nie zdradził tajemnicy. Czy potrafilibyście milczeć tak samo, jak ojcowie wasi?

Skinęli głowami na znak, że umieliby tak samo strzec tajemnicy, a najstarszy z pośród nich odezwał się w te słowa:

— Przekłete niechaj będą usta, któreby zdradziły miejsce tajemne któremukolwiek z pośród białych.

— Wierzę wam. Ja jeden wiedziałem, gdzie się znajdują te skarby; ale i jeden z białych dowiedział się o tajemnicy. Wie on, gdzie spoczywa część złota, dlatego trzeba ją przenieść gdzie indziej. Czy będziecie mi pomocni?

— Będziemy.

— Przysięgnijcie na dusze ojców, braci i dzieci, że nie zdradzicie nowej kryjówki i, że nikt z was niczego ze skarbów nie ruszy.

— Przysięgamy!—odrzekli wszyscy.

— Zostawcie tedy wasze konie i chodźcie ze mną!

Czerwonoskórzy udali się z Bawolem Czołem do grotty, która wnet zakłamała ruchem i pracą. Tylko jeden z pośród nich pozostał, aby pilnować koni i straż trzymać.

Praca trwała całą noc. Nad ranem przed grotą stało kilkanaście worów z ziarnami złota i odłamkami złotem. Wskazując na nie, Bawole Czoło rzekł:

— Nakryjcie to płachtami i naładujcie na konia. Będzie to podarunek Miksteków dla jedynego białego, który oglądał skarby własnymi oczyma, otrzymał bowiem na to moje przyzwolenie. Niechaj dar ten przyniesie mu szczęście!

Bawole Czoło wrócił jeszcze do groty. Ta jej część, którą widział Unger, była zupełnie pusta. Bawole Czoło rozejrzał się bacznie dokoła, podszedł do miejsca, gdzie na ziemi leżał lont, zapalił go od pochodni i śpiesznie grotę opuścił.

Po paru minutach nastąpił wybuch; ziemia zadrżała; z gór i skał wydobywać się zaczął brunatny dym; wewnątrz groty waliło się w gruzy; pękało. Wejście zostało zasypane, skarby znowu ukryte.

— Przysięgnijcie raz jeszcze dozgonne milczenie — rzekł Bawole Czoło do swych ludzi.

I raz jeszcze przysięgli, poczem ruszyli w drogę.—

Przybywszy do hacjendy zastał Niedźwiedzie Serce dom cały w wielkim smutku. Emma czuwała nieustrudzenie u łoża narzeczonego. Pomagała jej Karja. Den Pedro wysłał najlepszego jeźdźca na najlepszym z koni do Monclovy po lekarza. Gdy Niedźwiedzie Serce pojawił się na ganku, starzec począł go rozpytywać o szczegóły, mówiąc doń indjańskim zwyczajem przez ty.

— Wracasz sam? A gdzie Tecalto?

— Został u stoku El Reparo.

— Cóż tam robi?

— Nie wiem.

— Podobno kazał, by doń przybyli Indianie? W jakim celu?

— Nie pytałem o to.

— A gdzie jest hrabia Alfonso?

— Tego nie powiem.

Starzec był oburzony: nie wiem, nie pytałem o to, tego nie powiem, cóż to za odpowiedź!

— Mój brat nie powinien pytać o rzeczy, o których mówić nie mogę. Wódz Apaczów zna tylko czyny, nie lubi słów.

— Mimo to chciałbym wiedzieć, co się tam działo.

— Może Karja opowie...

— I ona milczy, jak zaklęta.

— Bawole Czoło opowie wszystko, gdy wróci. A teraz niechaj mnie brat mój zaprowadzi do łoża Piorunowego Grotu, bym mógł obejrzeć ranę.

W pokoju Ungera zastali u łoża chorego oba dziewczęta. Emma zatopiona była we łzach, Indianka w smutnem milczeniu. Ranny rzucał się na łożku. Musiał go trawić ból niezmierny, nie jęczał jednak. Oczy miał zamknięte. Gdy Niedźwiedzie Serce wziął głowę Ungera w swe ręce, twarz chorego wykrzywiła się cierpko.

— No i co?—zapytał Indianina don Pedro.

— Nie umrze! Trzeba mu tylko ciągle przykładać zioła.

— Jutro przybędzie lekarz.

— Zioła oregano są mądrzejsze od lekarzy. Czy brat mój ma wśród pastuchów jakiegoś dobrego jeźdźca i strzelca?

— Tak. Jest nim stary Franciszek.

— Niech się tu stawi. Pojedzie ze mną do Komanczów.

— Co takiego? Do Komanczów? W jakim celu?

— Odebraliśmy jeńców, zabiliśmy kilku z pośród nich. Przyjdą tutaj, aby się zemścić.

— Tutaj, czy to możliwe. Tu, tak daleko?

— Czerwonoskórzy nie znają odległości, jeżeli chodzi o zemstę lub oskaldowanie wroga. Przybędą z pewnością:

— Pocóż iść im naprzeciw?

— Chcę widzieć i wiedzieć, kiedy i jaką drogą przybędą.

— Czy nie lepiej, byś został tutaj? Rozstawimy warty.

— Piorunowy Grot chciał iść naprzeciw Komanczów. Ponieważ leży, złożony ciężką niemocą, musi go wyręczyć wódz Apaczów!

— Niechże się tak stanie, jak chcesz. Każę zawołać Franciszka.

Stary pastuch zgodził się natychmiast towarzyszyć wodzowi Apaczów. Wkrótce wyruszyli w drogę, zaopatrzeni we wszystkie przedmioty, potrzebne do zwiadów. —

Gdy mężczyźni opuścili pokój, Emma wybuchnęła znowu płaczem. Uspokoiwszy się nieco, zaczęła całować Ungera w czoło i usta; pod wpływem pocałunków twarz rannego wypogadzała się, ustępował z niej wyraz cierpienia.

— Poznaje mnie; wie, że to ja go pieszczę,— rzekła Emma do Indjanki.

— Nie widzi cię przecież—odparła Karja.

— Dusza jego wyczuwa moją obecność. Poco brat, twój wziął go na górę El Reparo! Nie byłoby tego straszego nieszczęścia.

— Tecalto miał jak najlepsze zamiary. Chciał mu darować część królewskich skarbów.

— Cały zaś skarb tys chciała oddać hrabiemu—rzekła Emma z goryczą.

— Nie potrafisz zapomnieć mi tego?

— Przebaczam ci, bo miłość tobą kierowała. Ach, żeby tylko wrócił do zdrowia!...

— Ziele oregano uzdrowi go.

Przy trupach obydwu sług znaleziono podrózne rzeczy hrabiego. Karja postanowiła je przeszukać. Nie było wśród nich nic godnego uwagi z wyjątkiem listu, który hrabia otrzymał w dniu ucieczki. List ten Karja ukryła, korzystając z chwili, w której Emma pochyliła się nad chorym.—

Niedźwiedzie Serce i towarzyszący mu vaquero Franciszek gnali na rączych koniach meksykańskich jak wicher. Okoła wieczora Niedźwiedzie Serce nagle osadził bieguna, zsiadł, schylił się i rzekł do towarzysza podróży:

— Czy widzisz te ślady licznego hufca jeźdźców?

— Idą od północy.

— Zbaczają na zachód.

— Trzeba się przyjrzeć tropom dokładnie.

Po chwili rzekł pastuch:

— Jest ich około dwustu.

Niedźwiedzie Serce skinął potakująco głową, poczem wskazał na świeży jeszcze zupełnie ślad kopyta.

— Możemy uważać to za szczęśliwy przypadek — odparł pastuch.—Byli tu przed niespełna kwadransem.

Niedźwiedzie Serce wyprostował się i wskoczył na siodło:

— Naprzód! Muszę ich zobaczyć!

Podążyli śladami. Już o zmroku ujrzeni w przełęczy niedalekiej góry długą, węzową linię jeźdźców.

— To Komanczowie—rzekł Apacz.

— Ależ oczywiście. Idą na hacjendę.

— Do rana zostaną w górach—odrzekł Niedźwiedzie Serce.—Niech mój brat wraca zaraz do domu i powie swemu panu, że wróg się zbliża. Ja zostanę i śledzić go będę, muszę bowiem wiedzieć o każdym jego kroku.

Po tych słowach Niedźwiedzie Serce oddalił się, nie zapytawszy nawet, czy towarzysz zrozumiał dobrze polecenie i czy je spełni.

— Per dios!—mruknął Franciszek.—Dziwny człowiek z tego Indjanina. Idzie przeciw dwustu zbrojnym wrogom, zostawia mnie bez pożegnania, nawet nie z troszczy się o to, czy go usłucham.

Jak najprędzej trzeba było zanieść do hacjendy groźną wiadomość. Franciszek nie szczędził więc konia. O północy stanął na folwarku. Wszyscy już spali, tylko Emma czuwała nad rannym. Vaquero zwrócił się do niej. Emma zbudziła ojca, który kazał wejść Franciszkowi do sypialni.

— Czy to prawda, co powiedziała Emma, że Komanczowie gotują napad?

— Prawda, sennor.

— Kiedyż to się stać może, chyba nie dziś?

— Nie; dziś na pewno nie.

— Czy jest ich wielu?

— Około dwustu.

— Madonna, co za nieszczęście! Zniszczą całą hacjendę!

— Tego nie należy się obawiać—odparł Franciszek.— Mamy przecież ręce i dosyć broni.

— Jak daleko stąd ujrzełicie wroga?

— Trzeba jechać kłusem jakie sześć godzin. Koman-czowie ukryli się w górach; z pewnością nikt nie ujrzy ich przed nocą jutrzejszą.

— Trzeba przygotować wszystko do obrony. Co za nieszczęście, że sennor Unger ranny!

— Przecież są zdrowi Niedźwiedzie Serce i Bawole Czoło.

— Bawole Czoło nie wrócił jeszcze z Reparo. Na-leży go sprowadzić.

— Czy mam się udać po niego?

— Tyś zmęczony.

— Ja? Chyba tylko mój koń. Ale wezmę innego i w drogę!

— A czy wiesz, gdzie przebywa Tecalto?

— Nie.

— Pod górą El Reparo, u ujścia środkowego stru-mienia.

— Dobrze, znajdę go z pewnością. Czy mam zbu-dzić służbę?

— Tak. Niechaj wszyscy będą wpogotowiu.

Zaalarmowawszy służbę, Franciszek skoczył na konia, by zawiadomić Bawole Czoło o niebezpieczeństwie, któ-re zawisło nad hacjendą. W kwadrans po jego odjeź-

dzie w całym folwarku rozpalono tyle ogni, że chyba żaden Indianin nie odważyłby się podkraść.

Franciszek znalazł Bawole Czoło pod górą, w chwili gdy wódz Miksteków gotował się właśnie do powrotu. Rzekł do niego:

- Wracajcie do hacjendy! Komanczowie wpobliżu.
- W oczach wodza Miksteków zabłyśło zadowolenie.
- Skąd wiesz o tem?—zapytał.
- Sam ich widziałem.
- Gdzie?

Franciszek zdał relację.

— No jeśli tak, to jeszcze mamy czas, — rzekł Bawole Czoło. — Ci Komanczowie stracą niejedną skalp pod hacjendą. Jeżeli Niedźwiedzie Serce ich śledzi, nie ma się czego obawiać.—

Przygalopowawszy do hacjendy, zastali cały folwark w podnieceniu.

Bawole Czoło pokiwał głową na widok przygotowań wojennych don Pedra i rzekł do niego:

- Czy uważasz Komanczów za głupców?
- Nie, w żadnym razie!
- Pocóż więc te przygotowania?
- Na miłość Boską, czy nie mamy się bronić?
- Ależ owszem, tylko inaczej. Komanczowie wyślą z pewnością wywiadowców, którzy zechcą nas śledzić. W dzień nie natrą. A jeżeli chcemy odeprzeć napad nocny, nie powinni nawet przeczuwać, że się ich spodziewamy.

— Masz rację.

— Trzeba więc przygotować się pokryjomu. Ile masz tu dusz na hacjendzie?

— Czterdzieści.
— To wystarczy. Czy każdy domownik uzbrojony?
— Mają wszyscy dobre strzelby. Mam nawet armaty.

— Armaty?—spytał zdziwiony Indianin.

— Tak jest, cztery.

— Nic o tem nie wiem. Skądże to?

— Kowal je przygotował podczas twojej nieobecności.

— Kowal? A czy są co warte?—pytał Tecalto z niedowierzaniem.

— Wypróbowaliśmy je. Lufy sklecono z mocnego drzewa, a na niem silne obręcze.

— W takim razie doskonale. Będziemy strzelać szkłem, gwoździami i starem żelaziwem. Ponadto trzeba wiele pochodni. Napad nastąpi zapewne dzisiejszej nocy. Cały folwark musi być pogrążony w zupełnych ciemnościach, by się Komanczom zdawało, że wszystko śpi. Gdy już będą blisko, zapalimy setki świateł i wtedy łatwo nam będzie strzelać do celu.

— Przygotuję więc pochodnie na dachu domu.

— Dobrze.

— A gdzie umieścimy armaty?

— Na wszystkich czterech rogach budynku, pod osłoną usypanych szańców. Lecz któż to?

Przed Bawolem Czołem stanął na spienionym koniu jakiś jeździec. Był to Niedźwiedzie Serce.

— Skąd tutaj?—zawołał don Pedro.— Skąd przybywasz?

— Śledziłem Komanczów—odparł Apacz, zeskakując z konia.

— Gdzież są?

— Na górze Reparo.

— Na górze Reparo? Czy tam zatoczyli obóz?

— Tak. Przybyli o północy.

— Od której strony rozbili namioty?

— Od północnej.

— Uff! A jeżeli—przy tych słowach Bawole Czoło zatrzymał się i rzekł zupełnie cicho do Apacza:—jeżeli znajdą hrabiego?!

— Pewnie już dawno załatwiły się z nim krokodyl—odparł również szeptem wódz Apaczów.—

Komanczowie szli w sile dwustu ludzi. Prowadził ich słynny wódz, znany. Arika-tugh, Czarny Jeleń. Po bokach jego jechało dwóch konnych, doskonale obeznanych z okolicą. Czerwoni parli na estancję¹).

Komanczowie nie przeczuwali nawet, że śledzi ich Niedźwiedzie Serce. Gdy przybyli pod górę Reparo i zatrzymali się w gęstym lesie u północnego jej stoku, Czarny Jeleń zapytał jednego z towarzyszących mu konnych:

— Czy syn mój nie zna tu miejsca, w którym można by się ukryć na przeciąg dnia?

Zapytany namyślał się przez chwilę, poczem odrzekł:

— Znam. Na szczycie góry.

— Cóż to za miejsce?

— To ruiny świątyni, której krużganki pomieścić mogą tysiące zbrojnych.

— A więc pójdę wraz z tobą i zbadamy to miejsce. Pozostali niech tutaj czekają.

¹) Estancja -- folwark, hacjenda.

Mimo ciemnej nocy udało się Komanczom, dzięki niezwykle rozwiniętym zmysłowi orientacyjnemu, odnaleźć w gęstym lesie mury świątyni. Przeszukali je dokładnie i, nie znalazłszy śladu człowieka, już mieli zawrócić, gdy się nagle zatrzymali. Przerażliwy, nieludzki krzyk przeszył powietrze.

— Co to być może?—zapytał Czarny Jeleń.

Krzyk się powtórzył.

— To głos człowieka—rzekł przewodnik.

— Tak. Głos człowieka, ogarniętego śmiertelną trwogą! Ale skądże głos ten pochodzi?

— Trzeba iść za nim, trzeba poszukać!

Doszli do sadzawki. Już byli bardzo blisko źródła tych okrzyków nieludzkich. Jakkolwiek Indjanie szczyją się, i słusznie, żelaznemi nerwami, wrzask ten nawet ich wprawił w przerażenie.

— Jest tu, w wodzie—rzekł przewodnik.

— Nie; nad wodą. Słuchaj!

— Woda rusza się i burzy, jakby w pobliżu były krokodyle.

Na wodzie znowu ukazał się cały szereg smug.

— To z pewnością krokodyle. Czy widzisz te smugi na wodzie?

— I człowiek między nimi? Nie, to niemożliwe!

— Człowiek jest nad nimi, na tem drzewie.

Przy tych słowach wskazał Arika-tugh na drzewo cedrowe, przy którym stali.

— W takim razie jest przywiązany.

Znowu rozległ się ryk. Wiedzieli teraz, że pochodzi z przestrzeni, położonej między wodą a koroną drzewa.

— Czego chcesz, kto woła?—zapytał głośno Czarny Jeleń.

— Ratunku!—brzmiała odpowiedź.

— Gdzie jesteś?

— Wiszę na drzewie.

— Jakto? Nad wodą?

— No tak. Chodźcie tutaj!

— Ktoś ty taki?

— Hiszpan!

— Biada twarz należy do hiszpańskiego narodu — szepnął wódz do przewodnika. — W takim razie niech wisiał!—Mimo to zapytał jeszcze:

— Któż cię powiesił?

— Wrogowie!

— Jacy?

— Dwaj czerwonoskórzy.

— Uff!—rzekł Czarny Jeleń—więc powiesili go tutaj, by dokonać zemsty. — Jacy Indianie? — zwrócił się do wiszącego.

— Jeden z nich to Miksteka, drugi jest Apaczem — brzmiała odpowiedź.—Ratujcie, siły mnie już opuszczają, niedługo krokodyle rozerwą mnie na sztuki!

— Miksteka i Apacz — rzekł cicho wódz Koman-czów.—Przecież to nasi wrogowie. Może warto uratować tego człowieka? Rozniećmy ogień, musimy mu się przyjrzeć!

Nazbierali nieco suchych, cienkich gałęzi, złożyli je na brzegu sadzawki i zapalili zapomocą punksu¹⁾. Widać teraz było wiszącego na drzewie człowieka, który raz po raz podnosił nogi, gdyż krokodyle usiłowały je schwytać.

— To okrutna zemsta—rzekł Czarny Jeleń.—Zbadamy tego człowieka.

Wdrapał się na drzewo, wziął w rękę laso i podciągnął na niem wiszącego tak, że zabezpieczył go przed dzikimi bestjami. Hrabia — on to bowiem był — poznał po barwie wojennej Indjan, że ma przed sobą Komanczów. Odgadł wszystko i wyczuł, że jest uratowany.

— Dlaczego powiesili cię na drzewie ci dwaj ludzie?— spytał wódz.

— Ponieważ walczyłem z nimi. Byliśmy wrogami.

— Dlaczegoż więc nie zabiłeś tych psów? Przecież Apacze i Mikstekowie to tchórze.

— Tak, ale to byli Niedźwiedzie Serce, wódz Apaczów, i Bawole Czoło, wódz Miksteków.

— Co takiego? Niedźwiedzie Serce i Bawole Czoło?—Gdzież oni są?

— Uwolnij mnie, a będziesz ich miał!

— A więc dobrze!

Po tych słowach wódz Komanczów przeciął wszystkie więzy, krępujące hrabiego. Hrabia, mimo wyczerpania, siedział teraz na gałęzi o własnych siłach.

— Jestem wolny, wolny!—zawołał; po chwili zaś wykrzyknął:—Ale teraz zemsty, zemsty!

— Będiesz jej mógł dokonać—odparł wódz Komanczów, poczuwszy w hrabim przyszłego sprzymierzeńca.—Ale pocóż tak krzyczysz? Las ma uszy. Czy niema nikogo w pobliżu?

— Nikogo! Nikogo nie było na całej górze z wyjątkiem mnie i tych krokodyli. Do końca życia nie zapomnę tej okropnej nocy!

— Nie zapominaj i myśl o zemście! No, złaż z drzewa.

Znalazłszy się na ziemi, hrabia poczuł dopiero naprawdę, że jest uratowany.

— Dziękuję wam. Żądajcie, czego chcecie; zrobię wszystko!

Gdy usiedli na trawie, hrabia, wyciągnąwszy zbolęte członki, zapytał:

— Należycie do plemienia Komanczów?

— Tak. Jestem ich wodzem. Zowią mnie Arika-tugh, Czarny Jeleń.

— Idziecie na wroga?

— Tak. Czy znasz osadę hacjenda del Erina?

— Doskonale!

— Jak się nazywa człowiek, który ją zamieszkuje?

— Pedro Arbellez.

— Czy ma córkę?

— Tak.

— Mieszka u niej Indjanka z rodu Miksteków?

— Tak, to Karja, siostra Tecalty.

— Siostra Bawolego Czoła? — powtórzył wódz zdziwiony. — Uff! Tego nie wiedzieli Komanczowie, bo na pewno pilnowaliby jej z większą ostrożnością. Obydwie były u nas w niewoli

— Wiem o tem.

— Wiesz o tem?

— Tak, gdyż mieszkają u mnie.

— U ciebie? Mówisz zagadkami! Przecież mieszkają w hacjendzie?

— I cóż z tego? Hacjenda właśnie należy do mnie.

— Do ciebie? Więc tyś Pedro Arbellez?

— Nie. Nazywam się hrabia Alfonso de Rodriganda. Arbellez jest tylko moim dzierżawcą.

— Ach tak—odparł surowo wódz Komanczów, podnosząc się z ziemi. — W takim razie powiesimy cię znowu nad wodą, by cię pożarły krokodyle.

Alfonso był tak pewny swego, że zapytał z uśmiechem:

— Dlaczegoż to?

— Ponieważ jesteś obrońcą obydwu kobiet.

— Usiądź, Czarny Jeleniu! Nie jestem wcale ich obrońcą, przeciwnie, wrogiem, a twoim przyjacielem. To one są winne, że powieszono mnie tutaj, a tyś mi życie uratował. Odpłacę ci za to sowicie—wydam w ręce Komanczów trzech ich największych wrogów: Bawole Czoło, Niedźwiedzie Serce i Piorunowy Grot.

— Piorunowy Grot? Czy mówisz o Itinti-ka, wielkim prerjowcu? Gdzież on jest?

Wódz Komanczów był jakby w gorączce. Uniesiony nadzieją, że dostanie w ręce tych trzech ludzi, tracił spokój, właściwy swej rasie, i zdawał się nie panować nad sobą.

— Powiem wszystko, jeżeli złożysz obietnicę. Przeszedłeś, by napaść na hacjendę?

— Tak—przyznał wódz Komanczów.

— Czy napad się uda?

— Czarnego Jelenia jeszcze nikt nigdy nie zwyciężył!

— Jest was wielu?

— Dziesięć razy po dwadzieścia.

— Dwustu? To wystarczy. Będziesz miał wszystkich trzech sławnych wodzów i skalpy wielu mieszkańców hacjendy, będziesz mógł zabrać wszystko, co znajdziesz

na folwarku, ale pod jednym warunkiem: uszanujesz dom, który jest moją własnością!

Wódz Komanczów odrzekł po długiej chwili namysłu:

— Niech się stanie, jak chcesz! Gdzież są ci trzej ludzie?

— Wszyscy trzej są właśnie w hacjendzie — odrzekł hrabia z uśmiechem zadowolenia. — Ale pamiętaj, mam twoje słowo!

— Wódz Komanczów nie zwykł nie dotrzymywać słowa. Dom do ciebie należy i będzie należał. Do Komanczów należeć będą zato trzej wrogowie, skalpy wszystkich mieszkańców folwarku i wszystko, co w nich znajdziemy. Czy hacjenda zbudowana z kamienia?

— Tak, otacza ją gruby mur. Zaprowadzę was. Do staniecie się do domu, gdy wszyscy jego mieszkańcy będą pogrążeni w głębokim śnie. Zbudzą ich wasze noże i tomahawki!

— Czy dzierżawca posiada broń?

— Tak, ale to mu się nie zda na wiele.

— Ilu jest ludzi na folwarku?

— Około czterdziestu.

— Cztery razy po dziesięć? To znaczy siedem razy po dziesięć, gdyż każdy z trzech wodzów wart jest dziesięciu.

— Piorunowego Grotu nie należy brać w rachubę. Jest ranny, może nawet nie żyje. Zdzieliłem go maczugą przez głowę!

— A więc walczyłeś z Piorunowym Grotem? Kto walkę podjął z tym wodzem, ten jest z pewnością dzielnym wojownikiem.

— Nie jestem tchórzem, choć spotkałeś mnie w niewoli.

— Czy sądzisz, że przeczuwają najście nasze?

— Nie słyszałem, by kiedykolwiek mówiono o tem.

— Wyślę kogoś na zwiady.

— Byleby go tylko nie zauważyli!

— Przeciwnie. Pójdzie prosto do folwarku.

— W takim razie jest zgubiony!

— Nie! To nie człowiek z plemienia Komanczów, to czerwonoskóry chrześcijanin. Pochodzi z meksykańskiego szczepu Opatów. Okażą mu ufność, a on tymczasem zbada dokładnie, czy są przygotowani do odparcia napadu.

Po tych słowach Czarny Jeleń polecił przewodnikowi przyprowadzić swych ludzi do ruin świątyni, do których udał się teraz wraz z hrabią. Wchodząc, hrabia raz jeszcze spojrzął na sadzawkę, nad której wodą przeżył najstraszniejsze godziny swego życia; aligatory leżały na brzegu i patrzyły tępym, nieruchomym wzrokiem na ofiarę, której nie udało im się pożreć...

CZARNY JELEŃ.

Następnego ranka udał się wódz Komanczów wraz z hrabią i przewodnikiem na skraj lasu, z którego roztaczał się daleki widok. Nagle rozległ się głuchy huk.

— Co to było?—zapytał Czarny Jeleń.

— To strzał—odparł przewodnik.

— Nie, to odgłos detonacji—rzekł hrabia, domyślając się, co zaszło.

Patrzyli w stronę strumienia. Nagle ujrzeli dwóch oddalających się jeźdźców. Był to Bawole Czoło i jakiś Indjanin. Hrabia zwrócił uwagę na konia cugowego, który okryty był cały kocami. Zrozumiał natychmiast, że pod nimi ukryte są skarby.

— Co to za ludzie?—zapytał Czarny Jeleń.

— Należą do plemienia Miksteków—odparł hrabia.

— Plemię Miksteków zginie i przepadnie—zabrzmiała pogardliwa odpowiedź.

— No, nie pójdzie ci z nimi tak gładko. Przyjrzyj się ich wodzowi, Bawolemu Czołu.

— Więc to jest Bawole Czoło!—wykrzyknął Czarny Jeleń, obrzucając dalekiego jeźdźca ponurym wzrokiem.—Bliska już chwila, w której zginie przy palu w obozie Komanczów!

Wróciwszy do ruin świątyni, Czarny Jeleń polecił wywiadowcy, by gotował się do drogi. Człowieka tego ubrano w strój cywilizowanego Indjanina; otrzymał starą strzelbę i najgorszego konia, jaki tylko się znalazł. Do hacjendy miał przybyć od strony południowej.—

Bawole Czoło stał z dzierzawcą i Niedźwiedziem Sercem przy oknie, gdy nadjechał wywiadowca.

— Uwaga!—zawołał Apacz z drwiącym uśmiechem.

— Dlaczego, co się stało?—zapytał Arbellez.

— Nasz brat zwraca nam uwagę, że jest to oczekiwany wywiadowca—objął Bawole Czoło.

— Nie należy wszak do plemienia Komanczów — rzekł don Pedro.

— Tak, to Majo, lub Opata.

— A jak mam go traktować?

— Uprzejmie. Nie powinien się domyślić, że jesteśmy przygotowani do walki.

Don Pedro zszedł na podwórze. Indjanin powitał go uprzejmie, pytając:

— Czy jestem w hacjendzie del Erina, w której rządzi don Pedro Arbellez?

— Tak.

— A gdzie jest don Pedro?

— Ja nim jestem.

— Ach, przepraszam, czy udzielicie mi gościny?

— Bądźcie moim gościem w imię Boże! Skąd przybywacie?

— Przybywam przez góry z Durango.

— To daleka droga.

— Tak. Mieszkałem tam przez lat parę, ale gorączka

mnie wygnała. Tu klimat lepszy. Czy nie potrzebujecie vaquera, sennor?

— Nie.

— Ani cibolera?

— Także nie.

— A może jednak przydałbym się na coś?

— Mam ludzi dosyć, ale możecie zostać i odpocząć z drogi.

— Dziękuję. Zostanę czas jakiś. Żeby tylko nie ci dzicy!

— Czy boicie się Indjanina?

— Jednego nie, ale pięciu, dziesięciu, o i jak jeszcze! Idą słuchy, że Komanczowie mają ochotę przekroczyć granicę.

— Ależ to plotki! Nie wierzę, aby się odważyli. A więc rozgoście się w czeladnej, jedzcie i pijcie dosyta!

Don Pedro oddalił się, zostawiając Indjanina w przekonaniu, że w całej hacjendzie nikt nie przypuszcza, by wróg mógł być niedaleko. Wywiadowca nasz, jak widać, niezbyt był zmęczony, gdyż włóczył się po folwarku do południa, po południu zaś wsiadł na koń i odjechał. Okólną drogą wrócił do Komanczów, którzy oczekiwali go z niecierpliwością. Gdy opowiedział o swej wyprawie, na twarzy Czarnego Jelenia zabłysnął uśmiech krwiożerczy:

— Straszne będzie przebudzenie się hacjendy. Synowie Komanczów powrócą z łupem obfitym i wieloma skalpami!

Na wielkiej radzie wojennej postanowiono wyruszyć z nastaniem zmroku. O północy mieli być tuż przy

hacjendzie. Według ułożonego planu miano ją okrążyć z czterech stron; potem, na znak wodza, Komanczowie przedostaną się przez mur i otoczą dom cały. Pięćdziesięciu z pośród nich przez okna wedrze się do wnętrza, a wtedy nastąpi rzeź.—

Podczas gdy plan ten omawiano w gruzach świątyni, druga rada wojenna odbywała się w hacjendzie.

— Czy rakiet jest poddostatkiem? — zapytał Bawole Czoło.

— Owszem. Nasi vaquerzy nie wyobrażają sobie święta bez racy — odparł don Pedro. — A dlaczego pytasz o to?

— Najważniejsza rzecz, to odebrać im konie, by nie mogli szybko uciekać. Trzeba uważać, gdzie je zostawią. W odpowiedniej chwili rzucimy tam płonące rakiety i pochodnie.

— Doskonale!

— Trzeba jednak do tego ludzi odważnych i ostrożnych.

— Mam takich. Kiedyż zaczniemy sypać szańce?

— Postanowiliśmy wprawdzie zaczekać, aż nastaną ciemności. Ponieważ jednak wywiadowca odjechał tak baruzo uspokojony, nie przypuszczam, by nas szpiegowali jeszcze. Możemy zaczynać!

Rozpoczęła się żmudna praca.

Zszedł na niej wieczór; w godzinę przed nadejściem północy Apacz ruszył na zwiady. Wziął dwóch dobrze uzbrojonych służących, którzy mieli ze sobą tyle rakiet, że możnaby nimi spłoszyć stadninę koni.

Niedźwiedzie Serce wrócił po chwili, lecz sam.

— Widziałeś ich?

— Tak.

— Gdzie są?

— Zsiedli już z koni. Otoczyli mur; wierzchowce stoją przy źródle.

— Ilu wartowników ich pilnuje?

— Tylko trzech.

— Uff! Nasi dwaj ludzie podołają zadaniu!

Don Pedro udał się do pokoju, w którym oba dziewczęta czuwały, jak zwykle, przy chorym. Były blade, gotowe na wszystko.

— Czy wróg już idzie?—zapytała Emma.

— Tak. Chory śpi?

— Mocno.

— W takim razie możecie objąć swój posterunek. Oto lonty!

Emma i Karja pośpieszyły na ganek, gdzie w każdym rogu, obok stosów drzewa, polanych naftą, leżały ciężkie kamienie. Stało tam również kilka nabitych armat, które obsługiwać miały kobiety.

Noc była cicha. Dolatywał tylko szmer strumienia, albo dalekie rżenie żrebaka, idące od pastwisk. W oczekiwaniu walki niejedno serce biło mocniej, niż zwykle.

Nagle rozległo się głośnie rechotanie żaby. Naśladownictwo dźwięków było tak łudzące, iż jedynie świadomość o napadzie Komanczów pozwoliła mieszkańcom folwarku domyślić się, że jest to znak do ataku.

Stary vaquero Franciszek wyprosił sobie obsługiwanie armaty, która miała bronić głównego wejścia do domu. Nabiał ją szkłem, gwoździami i kawałkami żelaza; pod serape,¹⁾ który narzucił na działo, palił się lont. Sta-

¹⁾ Koc.

ruszek czuwał przy swojej armacie, nasłuchując każdego szmeru.

W oknie, na prawo od wejścia, stał Apacz; w oknie lewem zaś wódz Miksteków. Obydwaj mieli strzelby w ręku i patrzyli w ciemność badawczo, przenikliwie. Po raz drugi odezwało się rechotanie żaby; i w tej samej chwili zawrzało przy murze, jak w ulu. Dwieście głów wychyliło się z poza niego, dwieście ciemnych, zręcznych postaci zeskoczyło na podwórze. Pięćdziesięciu zebrało się właśnie, aby wtargnąć do domu. Wtedy Apacz przyłożył swą strzelbę do ramienia i zawołał:

— Ankhuan selkhi no-khil — Ognia!

Wypalił. Ledwie padł jego strzał, Emma i Karja przyłożyły lonty do prochu, tak, że odrazu zapłonęły cztery ognie, oświetlając jaskrawo cały teren walki. Indianie stanęli jak wryci.

Stary Franciszek zobaczył teraz pięćdziesięciu zbitych na kupę wrogów; stali w odległości zaledwie piętnastu metrów. Wypalił więc ze swego działa. Skutek strzału był straszny. Skłębione postacie wiły się po ziemi. Franciszek wystrzelił raz jeszcze. I tym razem pocisk nie chybił. Strzelano z innych armat, ze wszystkich okien, z ganku; wtem... zatrzeszczało coś woddali. Łuna oblała horyzont. Po chwili słyszeć się dało rżenie i parskanie setek przerażonych koni, które rzuciły się do panicznej ucieczki, aż ziemia zadrżała pod kopytami.

Komanczowie wydawali okrzyki bezsilnej furji. Byli bowiem wszyscy jasno oświetleni i tworzyli cel zupełnie wyraźny. Pokoje stały ciemne, o strzelaniu nie mogło być mowy. Nie spodziewał się wróg takiego przyjęcia;

niemał w pierwszych minutach był zdziesiątkowany. Pozostała jedynie ucieczka...

Nie ustępował tylko Czarny Jeleń. Wzywał swych ludzi, by nie uciekali — napróżno! Rzucił jeszcze okiem na plac walki: trup na trupie! Widząc, że wszystko zgubione, i on postanowił się cofnąć. W chwili, gdy przełaził przez mur, zobaczył go Apacz i zawołał:

— Arika-tugh, Czarny Jeleń!

Nie mógł, niestety, Niedźwiedzie Serce zgładzić wroga, bo w strzelbie zabrakło naboí.

— Czarny Jeleń! — zawołał raz jeszcze, odrzucając strzelbę i wyciągając z za pasa tomahawk. — Czarny Jeleń pokazuje wrogowi plecy!

Po tych słowach zeskoczył z okna, przebiegł przez podwórze, przesadził mur.

— Niechaj Czarny Jeleń się wstrzyma! — zawołał do uciekającego.—Woła go Niedźwiedzie Serce, wódz Āpaczów. Czy wódz Komanczów będzie uciekał przed nim?

Usłyszawszy te słowa, zatrzymał się Arika-tugh.

— Tyś Niedźwiedzie Serce?—Podejdz więc bliżej, a oddam twe wnętrzności sępom na pożarcie!

Zwarli się, walcząc tylko na tomahawki. Niebawem się okazało, że Niedźwiedzie Serce ma przewagę nad przeciwnikiem. Ale... oto zbliżyła się jakaś postać ze strzelbą w ręku: to hrabia Alfonsol

Hrabia został za murem; nie miał ochoty nastawiać karku na strzały. Czekał wyniku walki. Widząc zapasy dwóch wodzów, podszedł do nich i z tyłu uderzył Niedźwiedzie Serce kolbą w głowę tak mocno, że zwałił się na ziemię wódz Apaczów. Czarny Jeleń

wyciągnął nóż, by zabić wroga i oskalpować, ale hrabia zatrzymał go słowami:

— Zasługuje na inną śmierć!

— Masz rację — odparł Czarny Jeleń. — Prędko do koni!

— Do koni? Niema ich przecież!

— Niema?

— Tak. Przestraszyły się rakiet i pochodni.

— Uff! W takim razie uciekajmy pieszo!

Wzięli Apacza pod ramiona i powlekli po ziemi.

Czas był najwyższy. Bawole Czoło bowiem zauważył, że Apacz wyskoczył za Czarnym Jeleniem i zrozumiał, jakie mu grozi niebezpieczeństwo. Zorganizował więc wypad na folwark w poszukiwaniu towarzysza. Niestety, nigdzie go nie można było znaleźć...

Niedźwiedzie Serce leżał omdlały przez kilka godzin. Gdy otworzył wreszcie oczy, ujrzał najpierw ognisko, a potem gromadę dzikich czerwonych postaci, pochylonych nad niem. Niedźwiedzie Serce był związany; po jego prawej ręce siedział Czarny Jeleń, po lewej hrabia Alfonso.

Zauważywszy, że Apacz otwiera oczy, hrabia rzekł:

— Zbudził się nareszcie!

Oczy Indjan, siedzących przy ognisku, zwróciły się ku jeńcowi. Wszyscy słyszeli o Niedźwiedziem Sercu, wszyscy znali głośne i sławne jego imię, ale tylko niewielu widziało go na własne oczy. Był spokojny tym granitowym spokojem, który cechuje Indjanina. Głowa bolała go od ciosu hrabiego; paniętał jednak o wszystkim, co zaszło.

— Tchórzliwa żaba Apaczów jest w naszej niewoli—
rzekł Czarny Jeleń.

Apacz uśmiechnął się pogardliwie; czuł, że nie powinien milczeć w tej chwili.

— Wódz Komanczów uciekał jednak przed tą żabą.

— Psie! Arika-tugh pokonał Niedźwiedzie Serce.

— To niktzemne kłamstwo! Ani tyś mnie pokonał, ani tamten. Napadliście na mnie podstępem. Oto wszystko, co powiem; ani słowa więcej. Niedźwiedzie Serce pogardza wojownikami, którzy jak pchły uciekają na widok walecznego wroga!

— Będziesz ty jeszcze skomlał, gdy cię weźmiemy na męki.

Apacz nie odpowiedział. Wszyscy czuli, że żelazny ten człowiek dotrzyma obietnicy milczenia, zwrócili się więc do swego wodza:

— Noc się rozwidnia. Wkrótce trzeba będzie iść dalej. Zasiądźmy więc, aby odprawić sąd nad tym, który zowie się wodzem Apaczów.

Otoczyli go zwartem kołem, a Czarny Jeleń, podniósłszy się, wygłosił długą mowę, w której wyliczał występki Apacza wobec Komanczów. Zakończył słowami:—Zasłużył na śmierć!

— Czy weźmiemy go do wigwamów? — zabrzmiało pytanie.

Po długiej naradzie postanowiono dla wygody zabić wroga na miejscu.

— Jaką ma zginąć śmiercią?—zapytał Arika-tugh.

I znowu długo naradzano się nad tem pytaniem; decyzja była trudna; niezwykły jeniec musiał przecież

który milczał dotychczas, podniósł się i zapytał:

— Czy wolno mi powiedzieć słów parę mym czerwonym braciom?

— Tak—rzekł Czarny Jeleń.

— Czy człowiek ten należy częściowo i do mnie?

— Nie! Przyrzekłeś go nam.

— A kto go obezwładnił?

— Ty.

— Czy spełniliście to, coście mi obiecali?

— Nie. Było to ponad nasze siły.

— W takim razie upadają wzajemne obietnice i jeniec należy tylko do tego, kto go obezwładnił. Niechaj zginie taką samą śmiercią, jaką dla mnie przeznaczył. Przywiążemy go do tego samego drzewa—niechaj ginie od krokodyli. Będzie znosił te same piekielne męki, których ja tak dotkliwie zaznałem!

Komanczowie wydawać zaczęli radosne okrzyki na znak zgody; oczy wszystkich zwróciły się ku Apaczowi; chcieli wyczytać z jego twarzy, jakie wrażenie wywarł na nim wyrok. Twarz ta była jak z kamienia; Niedźwiedzie Serce nie drgnął nawet powieką.

— Czy mamy dosyć lass?

— Nie zbraknie ich, a zresztą tutaj leżą jeszcze te same, na których wisiacieś.

— Dobrze! W takim razie zwiążmy go tak samo, jak mnie związałeś,—rzekł Alfonso.

Tak się stało.

Poczem Czarny Jeleń zapytał szyderczo:

— Czy wódz Apaczów ma jeszcze jakąś prośbę?

Niedźwiedzie Serce obrzucił wzrokiem wszystkich

szesnastu wrogów, którzy stali teraz obok niego. Gdy się tylko obudził z omdlenia, zauważył, że leży nad sadzawką góry El Reparo i wiedział, jaki los go czeka; dlatego też wyrok nie wywarł na nim wrażenia. Obrzucił Komanczów spojrzeniem, jakby notując sobie w pamięci rysy każdego i rzekł:

— Wódz Apaczów nigdy o nic nie prosi. Zginiecie wszyscy; jak tu jesteście. Oto wszystko! Shosh-in-liett nie będzie ryczeć, ani wrzeszczeć, jak to czynił biały hrabia! Powiedziałem. Howgh!

Jeden z najmocniejszych Komanczów wdrapał się na drzewo; nie upłynęły dwie minuty, a Niedźwiedzie Serce wisiał nad wodą w pozycji, w jakiej niedawno jeszcze tkwił hrabia. I znowu krokodyle zebrały się wokoło ofiary...

Komanczowie przyglądali się czas jakiś, jak Niedźwiedzie Serce z najwyższym spokojem podnosił swe nogi z pod paszcz aligatorów, poczem, nacieszywszy się tym widokiem, powrócili do swoich spraw.

— Czy bracia moi zmierzają do swych pastwisk? — zapytał hrabia.

— Najpierw musimy dokonać zemsty—ponuro odparł Czarny Jeleń.

— Czy pójdziecie za mną, gdy was poprowadzę do zemsty?

— Dokąd?

— Powiem o tem później, skoro przekonamy się, czy tylko my jedni uniknęliśmy śmierci.

— Musisz o wszystkim powiedzieć zaraz — rzekł wódz Komanczów—nie mamy bowiem szczęścia z naszym białym bratem.

— I mnie nie bardzo się powiodło z moimi czerwonymi braćmi. Niechaj więc rozproszą się teraz i szukają swych towarzyszy. Później, skoro się zbierzemy, powiem, jak zemstę wyrzecz.

— Gdzie się spotkamy?

— Tu, na tem miejscu.

— Dobrze, spróbujemy. Może tym razem szczęście nam bardziej dopisze...

Poszli, by szukać reszty niedobitków. Hrabia został jeszcze przez chwilę, sycąc się widokiem wiszącego nad krokodylami wroga, poczem odszedł również. Miał zamiar udać się do strumienia i zbadać, co tam robił Bawole Czoło w wigilję tego dnia. To było główną przyczyną, dla której namówił Komanczów, aby się oddalili.

Zaledwie hrabia odszedł, twarz Apacza rozjaśniła się, usta wydały okrzyk radości. Ponieważ przeciągnięto mu łąso pod ramionami, mógł podźwignąć się nieco, zupełnie jak na trapezie.

Mógł unieść nogi. Ale to jeszcze niewiele.

Udało mu się chwycić łąso rękami i wreszcie przytrzymać je na wysokości pół metra kolanem. Zginając więc ciało i chwytając łąso na przemian to rękami, to kolanami, windował się wgórej, aż, spocony wysiłkiem, dzięki olbrzymiej mocy swych mięśni, dostał się na konar. Przyległszy tam napoprzek, spoczywał z minutę. Wisząc bowiem przez cały czas swej pracy nogami do góry, dostał zawrotu głowy.

Narazie wymknął się krokodylom, lecz niebezpieczeństwo było jeszcze wielkie. Gdyby zjawił się teraz któryś z Komanczów, albo gdyby nie mógł oswobodzić

się z pęt, byłby zgubiony. Leżał na grzbiecie wpoprzek gałęzi tak, jak się leży na ręce, by wykonać ćwiczenie na krzyżu. Zgiął kolana i w ten sposób dosięgnął rzemienia, który krępował mu nogi. Znalazłszy węzeł, zaczął go rozpętywać. Trwało to bardzo długo, ale wreszcie dokonał swego. Teraz miał nogi swobodne i mógł się podnieść. Usiadł więc na konarze tak, że związanymi na plecach rękami mógł dosięgnąć tego miejsca na gałęzi, gdzie przywiązany był górny koniec lassa. Po długich wysiłkach, podczas których krew mu się z palców puściła, zdołał wreszcie rozwiązać rzemień i zleźć z drzewa, choć ze związanymi rękami. Nie udałooby mu się to z pewnością, gdyby drzewo rosło prostopadle, ale na szczęście wisiało ono pochylone nad wodą.

Apacz jechał na konarze, jak na koniu, aż dostał się wreszcie do pnia. Owinął się dokoła niego nogami, ciało spuścił i wisiał znowu głową nadół. Puszczając i ściskając raz po raz pień koianami, dostał się wkońcu na ziemię. Siły wyczerpał do cna, ale był ocalony.

— Uff!

Wydał z siebie tylko tę jedną zgłoskę. Poczem spojrział jeszcze na krokodyle, które leżały przy brzegu i patrzyły nań, kłapiąc straszliwie szczękami, i pośpieszył do lasu, aby się w nim ukryć.

Trzeba było teraz uwolnić ręce. Przeciskając się między krzakami i skałami, rozglądał się badawczo, dopóki nie znalazł pożądanego obiektu. Była to krawędź skały, tak ostra, że można nią przeciąć rzemień. Oparł się grzbietem o skałę i tarł tak długo rękami o krawędź, dopóki rzemień nie pękł. Teraz był wolny zupełnie.—

Walka, która z początku szalała na dziedzińcu fol-

warku, toczyła się teraz dalej w otwartym polu. Przeobrażona w szereg poszczególnych zapasów, odsunęła się daleko od domu i trwała przeszło godzinę.

Bawole Czoło zwołał załogę hacjendy. Wokoło leżeli pozabijani Indianie, w ciemności nawet można było rozpoznać, że zginęło ich przeszło stu.

— Popamiętają nauczkę i nie wrócą tak prędko — rzekł Arbellez, uradowany zwycięstwem.

— Czy widzicie te ochłapy, don Pedro,—odezwał się stary Franciszek, wskazując na Indian, leżących przy wejściu do domu. — To dzieło mojej armaty. Ciała poszarpane na strzępy.

— Nie wszystko jeszcze skończone — odparł Bawole Czoło.—Musimy zniszczyć resztę Komanczów.

— Gdzież ich szukać?

— Czy po tamtej stronie strumienia niema tropów?

— To prawda!

— Z tego należy wnosić, że uciekli w tym właśnie kierunku. Zapewne w stronę El Reparo, gdzie zebrali się przed dokonaniem napadu. Musimy ich tam poszukać. Czy powierzycie mi dwudziestu vaquerów?—zwrócił się do Arbelleza.

— Chętnie—odpowiedział don Pedro.

— Gdzie też może być Niedźwiedzie Serce?—zapytał Franciszek.

— W niewoli—odparł wódz Miksteków.

— To niemożliwe, dlaczegóż tak sądzisz? — zawołał ze strachem don Pedro.

— Bo go tu niema.

— Może nie wrócił jeszcze z pościgu?

— Nie; nie przypuszczam.

— W takim razie nie żyje, albo też ranny!

— Nie, znaleźlibyśmy go bowiem. Popędził za Czarnym Jeleniem. Komanczowie, będąc w przeważającej liczbie, porwali go zapewne.

— Musimy Apacza oswobodzić!—zawołał Franciszek.

— Oswobodzimy z pewnością—odparł twardo Bawole Czoło. — Wezmę jego strzelbę, aby dostarczyć mu broni. A więc na koń!

Dwudziestu ludzi dosiadło koni i ruszyło galopem. By zmylić czujność wroga, zatoczyli łuk i przybyli o świcie na El Reparo od strony południowej.

— Zsiądźcie z koni—rozkazał Bawole Czoło.

— Poco?—zapytał Franciszek.

— Musimy podkraść się do nieprzyjaciela, konie-by nam przeszkadzały. Niech Sanchez zostanie przy nich.

Vaquero został przy koniach, reszta pod osłoną drzew wdrapała się na górę. Gdy dotarli na szczyt i stanęli na płaskowzgórzu, było już zupełnie jasno. Posuwali się ku ruinom z największą ostrożnością. Nagle usłyszeli okrzyk:

— Uff!

Ujrzeni nieuzbrojonego Indjanina, śpieszył do nich.

— Czy to możliwe? Niedźwiedzie Serce! — zawołał jeden z vaquerów.

— Tak, to on. To Apacz! — wykrzyknął radośnie Bawole Czoło.

— Więc nie był w niewoli?

— Ależ oczywiście, że był pojmany. Czy nie widzicie, że nie ma przy sobie broni? Był schwytany przez wroga i zbiegł.

Apacz mknął przez polanę, jak strzała; po chwili stanął przed nimi.

— Uff!—powitał go Bawole Czoło.—Brat mój, Niedźwiedzie Serce był w niewoli?

— Tak.

— Nieprzyjaciół było zbyt wielu, więc go zwyciężyli?

— Nie. Walczyłem z Czarnym Jeleniem. Wtem podszła ztytu zdradziecka blada twarz i uderzyła mnie kolbą w głowę. Padłem ogłuszony. Obudziwszy się, ujrzałem, że jestem wśród Komanczów. Błada twarz stała nade mną.

— Któż jest tą bladą twarzą?

— Hrabia.

— Uff! A więc żyje! Krokodyle go nie pożarły?

— Niestety, żyje. Te psy Komancze znalazły go i ocalały. To on poprowadził ich na folwark; walczył po ich stronie.

— Walczył przeciw swojej własności! Przeciw własnym ludziom! Zdejmiemy z niego skalp. Gdzie jest, gdzie się ukrywa?

— W górach. Ma się spotkać z Komanczami nad sadzawką.

— Aha! Tam się zbiorą?

— Byli już tam. Zeszli na równinę, by zebrać rozproszonych towarzyszy, ale wrócą.

— Czy brat mój jest tego pewien?

— Tak. Wisząc bowiem na drzewie, słyszałem ich rozmowę.

— Na jakim drzewie?

— Nad krokodylami.

Bawole Czoło aż się otrząsnął.

— Wisiałeś tam, nad aligatorami? Tak samo, jak hrabia?

— Tak samo. Przywiązano mnie na łaścach z jego namowy.

— Jakże się brat mój uwolnił?

— Niedźwiedzie Serce odparł z lekceważeniem:

— Wódz Apaczów nie boi się ani Komanczów, ani krokodyli. Zaczekał, aż wróg odejdzie, a potem się oswobodził.

Niedźwiedzie Serce jest mądrym i dzielnym wojownikiem, jest ulubieńcem Wielkiego Manitou — rzekł Bawole Czoło. — Inny nie dałby sobie tak szybko rady. Kiedyż Komanczowie wrócą nad sadzawkę?

— Tego nie mówili. W każdym razie ukryjemy się i zaczekamy na nich.

— Tylko uważajmy, by nie zostawiać śladów. Oto twoja strzelba, przyniosłem ci ją.

— Tomahawk zabrał mi Czarny Jeleń — rzekł gniewnie Apacz. — Lecz odda go razem ze swoim. Dajcie mi prochu i kul, a poprowadzę was.

Otrzymał, czego żądał, poczem pomknęli wszyscy przez las, zacierając za sobą ślady. Dotarli wreszcie na skraj lasu, otaczającego staw. Nikt z Komanczów nie powrócił jeszcze. Ukryli się więc, by, sami niewidzialni, mogli obserwować okolicę.

Po udzieleniu wskazówek, jak strzelać, by nie marnować na jednego nieprzyjaciela dwóch kul, zeszli się obydwaj wodzowie.

— Co będzie, gdy Komanczowie zobaczą, że wódz Apaczów im uciekł? Domyślą się, że sprowadzi pomoc.

— Nie zauważą ucieczki.

Po tych słowach wyszedł z zarośli i podszedł do drzewa cedrowego, na którym wisiął. Wpobliżu pnia leżały jeszcze lassa, któremi był przywiązany. Wziął ostry kamień i rozciął dolną część rzemieni tak, że wyglądały, jakby się rozdarły same. Potem wlaź na drzewo i przywiązał rzemienie do konara podobnie, jak były umocowane poprzednio. Teraz pozory przemawiały za tem, że krokodyle ściągnęły wiszącego.

Kiedy wrócił po tej krótkiej pracy, rzekł doń Bawole Czoło:

— Brat mój postąpił roztropnie. Komanczowie nie będą ani na chwilę przypuszczać, żeś uciekł.

Leżeli cicho w kryjówce i czekali. Po upływie pewnego czasu rozległ się tętent. Nadjechali dwaj Komanczowie.

— Uff! — zawołał jeden z nich, nie widząc idjanina na drzewie.

— Uciekł! — zawołał drugi.

— Nie! Lasso przerwane. Już go pożarły krokodyle.

— Nie wejdzie do Wiecznych Ostępów, pożarły go bowiem zwierzęta. Dusza jego błędzić będzie wśród tych nieszczęsnych cieni, które trawi rozpacz i ból. Przeklęty jest Apacz w tem i przyszłym życiu!

— Zsiadajmy z koni. Zaczekamy tu na resztę!

Zeskoczywszy, zabrali się do uwiązywania wierzchowców.

— Oskalpujemy ich? — zapytał Apacz.

— Dobrze, ale nie masz przecież noża.

— Pshaw! Nóż wezmę od któregokolwiek z nich.

Oparł strzelbę o drzewo i posunął się naprzód. Miksteka mu towarzyszył. Dostawszy się na skraj za-

rośli, pomknęli jak dwa tygrysy ku Komanczom, nieprze-
czuwającym złego. Niedźwiedzie Serce pochwycił jed-
nego z nich za gardło, wyrwał mu nóż z za pasa i no-
żem tym przebił serce. W przeciągu dwóch minut A-
pacz miał już w ręce skalp swego wroga. Bawole Czo-
ło dotrzymał mu kroku. Komanczowie nie mieli nawet
czasu krzyknąć.

— Co zrobimy z trupami?—spytał Bawole Czoło.

— Damy je krokodylom na pożarcie.

Potwory zwierzyły bliskość ludzi. Wsunąwszy się
na powierzchnię, podплыnęły ku brzegowi. Znowu cze-
kały na ofiarę. Wodzowie zabrali broń wrogom i rzucili
ich trupy do wody. Toż dopiero rzuciły się wygłodniałe
aligatory na żer! Nie upłynęła nawet minuta, a obydwa
trupy znikły w ich paszczach. Nie zostało z nich nic
prócz kawałka ręki z dwoma palcami. Wzburzone przez
zwierzęta fale wyrzuciły ten szczątek na brzeg.

Āpacz i Bawole Czoło zatarłszy ślady, wrócili do
kryjówki.

Niezadługo rozległ się znowu tętent kopyt. Czarny
Jeleń pędził na czele jakichś trzydziestu wojowników.
Widząc, że Apacza niema, rzekł podejrzliwie:

— Gdzież Apacz? Czyżby umknął?

Podjechawszy tuż nad wodę, zobaczył tam poło-
wą ręki. W jednej chwili zeskoczył z konia, podniósł
ją i zaczął się bacznie przypatrywać.

— Uff! Pożarty go! To kawałek jego lewej ręki. O-
bejrzeć lassa!

Po wykonaniu tego rozkazu stwierdzono niezbitcie,
że krokodyle ściągnęły Āpacza z drzewa i pożarty.

— Odszedł w świat ciemności!

Po tych słowach Czarny Jeleń rzucił do wody pozostały kawał ręki, który aligatory łapczywie połknęły. Wszyscy rozłożyli się teraz na brzegu.

Po jakimś czasie przybył jeszcze oddział zabłąkanych; nad stawem tedy zasiadło około pięćdziesięciu Komanczów. Nie badali sąsiedniego lasu, co świadczyło o tem, że nie zabawią tu długo. Czarny Jeleń pierwszy przerwał milczenie.

— Kto widział bladą twarz?

— Mówisz o hrabi?

— Tak.

Okazało się, że nikt nie widział hrabiego.

— Poszukać jego śladów!

Wstali, aby wykonać rozkaz wodza.

— Położenie staje się niepewne—szepnął Apacz.

Bawole Czoło potwierdził skinieniem głowy.

— Tu zatarliśmy ślady, lecz jeżeli pójdą dalej, znajdą je. Trzeba zaczynać. Dam hasło!

Zakaszłał głośno na znak, że można wziąć się do dzieła.

Zaledwie przebrzmiał ostry jego kaszel, z zarośli wysunęły się lufy dwudziestu strzelb.

— Ognia! — krzyknął Bawole Czoło.

Na to słowo huknęły dwadzieścia dwa strzały, a potem jeszcze dwa z dubeltówek wodzów. Tyluż Komanczów padło ugodzonych śmiertelnie. Reszta zerwała się i popędziła do koni. Vaquerowie odnowili nabój.

Ponieważ zginęło przeszło dwudziestu, Komanczowie byli przekonani, że w żaroślach kryje się jeszcze więcej białych. Nie próbowali więc już ataku, lecz rzucili się do ucieczki. Gdy się spierali, kto którego dosię-

dzie konia, padła druga salwa, niemal tak samo skuteczna, jak pierwsza.

Niedźwiedzie Serce pilnował Czarnego Jelenia. Zawczasu wydał swym ludziom rozkaz, by nie strzelali do wodza Komanczów, który teraz uciekać zaczął z niedobitkami wojowników. Wtem wyszedł Apacz z zarośli i, podniósłszy strzelbę, zmierzył tylko w konia, bowiem żywcem chciał dostać wodza Komanczów. Huknął strzał; zwierzę ugodzone śmiertelnie, przewaliło się, zrzucając jeźdźca. W dwóch skokach stanął Apacz przy Czarnym Jeleniu, zanim jeszcze wódz Komanczów zdołał podnieść się z ziemi.

Czarny Jeleń, jak wszyscy Komanczowie, nie strzelał dotąd, więc broń miał nabitą. Zerwawszy się z ziemi, wymierzył do Apacza:

— Psie—zawołał—żyjesz jeszcze? A więc giń!

Niedźwiedzie Serce odtrącił na bok lufę; strzał ohybił.

— Wódz Apaczów nie zginie z ręki tchórzliwego Komancza. Ale duszę twoją zabiorę, aby służyła mi w Wiecznych Ostępach!

Po tych słowach ogłuszył Komancza kolbą, aby ponieść go na miejsce, gdzie Arika-tugh siedział niedawno w otoczeniu swych wojowników. Tam czekał spokojnie, dopóki wódz Komanczów nie odzyskał przytomności.

Vaquerowie nie ścigali tych kilku z pośród wrogów, którzy zbiegli, nie uważali ich bowiem za niebezpiecznych. Rzucili się natomiast na poległych, aby im zabrać broń i amunicję.

Obaj wodzowie zaś siedzieli przy Czarnym Jeleńniu, nie troszcząc się o łupy.

Gdy zaczęli wiązać wodza Komanczów, odzyskał przytomność.

— Czarny Jeleń może zaśpiewać swą pieśń śmiertelną, pozwalam mu na to przed zgonem—rzekł Apacz. Wódz Komanczów milczał.

— Komanczowie śpiewają jak wrony, lub żaby, dlatego wołają się nie popisywać—szydził Bawole Czoło. Jeniec wciąż milczał.

— W takim razie umrzesz bez śmiertelnej pieśni — rzekł Shosh-in-liett.

Teraz dopiero zapytał Czarny Jeleń:

— Powiesicie mnie na tem drzewie?

— Nie—odparł Apacz.—Nie chcę cię dręczyć; pożrą cię krokodyle, jak mnie miały pożreć. Napierw jednak zdejmę ci skalp, aby po powrocie pokazać dzielnym synom Apaczów, jakim podłym tchórzem był Czarny Jeleń, Odbieram swój nóż i tomahawk.

Po tych słowach wyjął z za pasa jeńca wymienione przedmioty.

— Czy chcesz mnie naprawdę oskalpować? — zapytał jeniec z przerażeniem.

— Tak. Skóra twoja do mnie należy.

— Zdejmiesz ją ze mnie żywcem?

— A jakże. Czy mam szukać twego skkalpu w brzuchu krokodyla, gdy cię już połknie?

— Zabij mnie przedtem!

— Boisz się? W takim razie nie zaznasz litości!

Po tych słowach wziął nóż, lewą ręką pochwycił czuprynę jeńca, prawą zaś wykonał trzy prawidłowe

cięcia, zdejmując mu włosy z głowy. Po chwili miał skalp w ręce.

Czarny Jeleń ryknął z bólu.

— Jesteś tchórzem! Krzyczysz jak squaw — rzekł Niedźwiedzie Serce.

— Rzucimy go do wody — dodał Bawole Czoło. — Ale nogami, bo nie jest wart, abyś go ręką dotknął.

— Mój brat ma rację. Rzucę go krokodylom, jak zgniłe ścierwo, którego nie można wziąć do ręki. Waleczny wódz Komanczów ryczał jak stara baba. Niechaj więc nie ma grobowca ani na szczycie górskim, ani w dolinie. Ludzie jego plemienia nie będą mogli odbywać pielgrzymek, by słać jego imię, bowiem zniknie w brzuchu krokodyli.

Jak mówiliśmy już, punktem honoru dla Indjanina, zwłaszcza zaś dla wodza Indjan, jest nie okazać nigdy trwogi, nie wydać jęku, nawet wśród cierpień najdokuczliwszych. Czarny Jeleń ryknął z bólu, przez co postąpił niegodnie. Dlatego też Niedźwiedzie Serce nogami strącił go do wody, gdzie natychmiast rzuciły się nań aligatory...

Udali się następnie do koni, by wrócić na hacjendę. Apacz dosiadł wierzchowca jednego z Komanczów.—

Opuściwszy sadzawkę, hrabia Alfonso zszedł z góry, aby szukać grotty ze skarbem królewskim. Na dawnym miejscu jednak znalazł tylko gruzy; nadaremnie szperał w nich przez kilka godzin. Widać skarby zostały zabrane.

Zakławszy siarczyście, skierował kroki na szczyt

góry, aby się spotkać z Komanczami. Naraz usłyszał tętent. Po chwili stanęło przed nim ośmiu jeźdźców.

— Dokąd pędzicie?

— Uff! To blada twarz!—rzekł jeden z nich.—Jedziemy do doliny.

— Poco? Przecież nasi ludzie na górze.

— Zabici!—brzmiała odpowiedź.

— Zabici? Jakże się to stało?

— Blade twarze napadły na nas i zabiły cztery razy po dziesięć naszych braci.

— Do djabła!

— Wodza naszego, Czarnego Jelenia, pożarły krokodyl, przedtem zaś oskalpował go Apacz.

— Apacz? Jaki?

— Niedźwiedzie Serce.

— Do stu tysięcy djabłów! Przecież powiesiliśmy go na drzewie!

— Ale odzyskał wolność. Oswobodzili go zapewne vaquerowie. Gdybyś przy nim pozostał, nie stałoby się to z pewnością.

— Czyście to widzieli na własne oczy?

— Musieliśmy uciekać; ponieważ jednak nie wystali za nami pościgu, więc dwóch powróciło, by ich śledzić.

— Tak; stało się źle. Wszystko przepadło!

— Wszystko, z wyjątkiem zemsty!

— Tak, zemsta!—odparł po namyśle hrabia. — Cóż teraz zamierzacie czynić?

— Wrócimy do wigwamów po nowych wojowników.

— Nie przynosząc ze sobą ani jednego skalpu?

— Wielki Duch odwrócił się od nas.

— Ani też żadnych łupów nie przywożąc?

— Zdobędziemy je później.

— Cóżbyście powiedzieli, gdybym już teraz postarał się dla was o zdobycz bogatą i użyteczną?

— Przecież sam nic nie masz, nawet konia!

— Wezmę sobie konia z pastwisk hacjendy; potem wrócę do stolicy Meksyku, wy zaś będziecie mi towarzyszyc.

— Do Meksyku? A pocóż to?

— Będziecie moją strażą; niełatwa to bowiem podróż. Jeżeli zgodzicie się na nią, otrzymacie sute podarki.

— O jakich myślisz podarkach?

— Wybierzecie je sami. Jestem hrabią, wielkim wódem, mam wszystko, czego możecie zapragnąć.

— Czy masz broń, proch i ołów?

— Ile tylko chcecie.

— I perły dla naszych squaw?

— Ależ naturalnie!

Indian zaczynała pociągać obietnica hrabiego.

— Dobrze, będziemy ci towarzyszyć, będziemy twoją strażą.—Tylko musisz każdemu dać strzelbę, tomahawk i po dwa noże. Nie obejdzie się również bez kul i ołowiu.

— Wszystko otrzymacie.

— I perły?

— Dostaniecie perły, łańcuchy z drogich kamieni i pierścienie.

— Zgoda; idziemy z tobą. Ale pamiętaj: zginiesz, jeżeli nas oszukasz. Dwóch tylko z tobą nie pójdzie; muszą wrócić do obozów naszych, aby sprowadzić mścicieli!

- Czy nie można wyprawy odłożyć?
- Nie. Zemstę musimy wyrzucić czem prędzej.
- Dobrze więc. I sześciu wystarczy.

Wylosowano więc dwu wojowników, bo nikt nie chciał iść dobrowolnie. Woleli jechać do Meksyku po bogate dary, aniżeli wracać ze wstydem i hańbą do rodzinnych siedzib. Pozostałych sześciu wybrało z pomiędzy siebie starszego, poczem, rozstawszy się z dwoma posłannikami, udali się na poszukiwanie wierzchowca dla hrabiego.

Pozostali dwaj, cały swój spryt natężając, miast udać się wprost na północ, gdzie leżało nieszczęsne pobojuwisko, postanowili użyć dróg okólnych. Skręcili więc ku południowemu stokowi góry El Reparo, by uniknąć spotkania z wrogiem. I właśnie z tego powodu spotkało ich to, czego chcieli uniknąć.

Vaquerowie, ograbiwszy zwłoki Indjan z broni, rzucili je na pożarcie krokodylom, które od lat nie miały już tak obfitej uczt. Teraz czeladź hacjendy gotowała się do powrotu.

W chwili, gdy wyjechali z lasu i mieli właśnie skręcić w dolinę, Apacz zatrzymał nagle konia.

- Uff!—zawołał, wskazując przed siebie.
- To Komanczowie!—rzekł Bawole Czoło.
- Będziemy ich mieli—dodał Apacz.
- Trzeba ich wziąć żywcem. Żwawo, gotujcie lassal

Kiedy Komanczowie, nie widząc wroga, zbliżyli się, vaquerowie wypadli z lasu. Dzicy stanęli jak wryci, poczem spięli konie do ucieczki. Nic im to nie pomogło. Ścigający schwytali ich po niedługim pościgu. Komanczowie bronili się z całych sił. Coprawda zranili kilku

vaquerów, ale wkońcu, schwytani na lassa, musieli przecież ulec.

Apacz przystąpił do nich i rzekł:

— Jeżeli nie odpowiecie na nasze pytania, zdejmie my wam skalpy i powiększycie liczbę ofiar, pożartych przez krokodyle.

Wzdrygnęli się przed śmiercią, jaką zginął ich wódz. Jeden z nich zapytał:

— Co chcesz wiedzieć?

— Ilu z was pozostało przy życiu?

— Ośmiu.

— Gdzie tamtych sześciu?

— Zostali przy hrabi.

— A gdzież on jest?

— Tego nie wiemy.

Na to Apacz wyciągnął nóż ze słowami:

— Jeżeli nie powiecie prawdy, żywcem zedrę wam skórę z głowy.

— A jeżeli powiemy?

— W takim razie umrzecie śmiercią mniej bolesną i szybszą.

— Czy zostawisz nam skalpy i pochowasz nas z bronią?

— Uczynię to, chociaż nie zasłużyliście, wy, psy przekłęt!

— Pytaj więc dalej.

Źdycy wierzą, że bez skalpu, bez broni, bez prawdziwego pogrzebu nikt nie przedostanie się do Wiecznych Ostępów.

— Gdzież jest hrabia?

— Udał się na pastwiska białych twarzy, aby tam u-

kraść konia dla siebie. Później chce się dostać do Meksyku, dokąd go ma odprowadzić tych sześciu pozostałych towarzyszy, których wziął dla obrony.

— Cóż im obiecał za to?

— Strzelby, noże, proch i kamienie drogocenne dla ich squaw.

Bawole Czoło potrząsnął głową:

— Hrabia nie potrzebuje takiej opieki. Mógłby przecież znaleźć ją wśród białych. Albo to jeszcze większy tchórz, aniżeli przypuszczam, albo też nosi się z jakimś tajemniczymi zamiarami. Mówicie szczerą prawdę?

— Nie kłamiemy.

— W jakim kierunku ruszyli?

— Prosto na wschód.

— Gdzie rozstaliście się z nimi?

— Tam, gdzie na wschodzie góra dotyka doliny.

— Spotkaliście go podczas ucieczki, on zaś wracał z doliny?

— Tak.

— Wiem już, gdzie był. Znajde jego ślad. Odpowiedzieliście na wszystko, wzamian zginiecie śmiercią szybką.

Po tych słowach podniósł dwururkę i przestrzelił głowy obydwóch; nie drgnęli nawet powieką na widok luf.

— Sanchez i Juanito—rzekł Apacz—przysypiecie tych Komanczów kamieniami, chcę bowiem dotrzymać słowa. My zaś pójdziemy tropem hrabiego; może przecież uda nam się pochwycić zdrajcę.

Bystry wzrok Bawolego Czoła i Niedźwiedziego Serca odnalazł z łatwością ślady hrabiego i jego towa-

rzyszy. Wiodły one ku pastwiskom których nikt nie pilnował, bo wszyscy vaquerowie znajdowali się jeszcze w hacjendzie. Ślady świadczyły, że schwytano jednego konia, poczem hrabia wraz z towarzyszami udał się w kierunku południowym. Szli za śladami jeszcze jakąś godzinę, poczem Bawole Czoło rozkazał się zatrzymać.

— Dalej nie pójdziemy—rzekł. — Jesteśmy potrzebni na folwarku; wiemy już, że hrabia udał się w kierunku Meksyku. Nie ujdzie nam; znajdziemy go, choćby się krył pod ziemią.

Wrócili do hacjendy.

Tam życie już wracało do codziennego trybu. Vaquerowie, pozostali dla obrony, uprzętnęli zwłoki Indian i znieśli szańce, usypane przed najazdem. Don Pedro powitał ich radośnie:

— Dzięki Bogu, że przybywacie! Już byliśmy o was niespokojni. Jakże się powiodło?

— Czarny Jeleń nie żyje—odparł Bawole Czoło.

— A inni?

— Zginęli. Uszło tylko sześcioro.

— Dokąd się udali?

— Do Meksyku. Odprowadzają hrabiego. Lecz i oni nam nie ujdą.

— A więc sądzicie, że teraz jesteśmy bezpieczni?—zapytał Don Pedro,—że możemy wrócić do spokojnego życia? Ale co zrobimy z trupami, gdzie je pogrzebiemy?

Przez twarz Bawolego Czoła przemknął tajemniczy półuśmiech.

— Nie będziemy chyba zanieczyszczać powietrza hacjendy. Najlepiej pochować je w pobliżu góry El Reparo.

Czy mogę zatrzymać jeszcze na dziś moich dwudziestu vaquerów? Z ich pomocą pogrzebię trupy.

— Skoro jesteś pewien, że nic już nie grozi hacjendzie, zatrzymaj ich.

— Cóż się dzieje z bratem naszym, Piorunowym Grotem?

— Leży jeszcze bez przytomności.

— Trzeba zajrzeć do niego.

Obaj wodzowie weszli do domu. Bawole Czoło zaprowadził Apacza do pokoju swojej siostry, w którym złożył był złoto i klejnoty, przeznaczone dla Ungera. Karja leżała w hamaku, patrząc nieruchomo przed siebie. Na widok wchodzących zerwała się i zapytała:

— Przybywacie jako zwycięzcy? A on? Czy go już mają krokodyle?

— Nie!—odparł Bawole Czoło, obrzucając ją badawczym spojrzeniem.

— Nie?—rzekła ponuro. — Więc uniknął zasłużonej zemsty?

Bawole Czoło rad był, że Karja myśli nie o miłości, tylko o krwawej zemście.

— Te psy Komancze—rzekł—uwolniły go. Na jego miejscu powiesiły brata mego, wodza Apaczów, który cudem tylko uniknął śmierci.

Indjanka obrzuciła Apacza zdumionym wzrokiem. U jego pasa wisało kilka nowych skalpów. Karja rozkoszowała się wprost piękną, rycerską postacią Niedźwiedziego Serca, a na myśl, że krokodyle mogły go rozszarpać, doznała dziwnego, nieznanego jej dotychczas wrażenia. Bładość wielka okryła jej lica.

— Powiesili wodza Apaczów? Przecież stoi tu przede mną!—rzekła.

— Sam uwolnił się z pęt. Potem zwyciężył wroga.

— To bohater — rzekła Karja, darząc Apacza spojrzeniem pełnem podziwu.— A więc hrabia zdołał u-mknąć?

— Uciekł do Meksyku, do swego wuja. Odprowadza go sześciu Komanczów.

Karja wyprężyła się, jakby gotowa do skoku, i za-pytała:

— Pozwoliłeś mu uciec? Daj mi konia; doścignę tego łotra i zabiję!

Bawole Czoło uśmiechnął się; był zadowolony z siostry.

— Zostań—rzekł.—Nie ujdzie nam. Będę go ścigał.

— Zabijesz go przy spotkaniu?

— Tak! Znieważył córkę Miksteków, musi więc zgi-nać z mej ręki.

— Albo z mojej—dodał Apacz.

— Uff! Czy brat mój chce mi towarzyszyć do Me-ksyku?

Indianin, czując na sobie gorący wzrok Karji, rzekł:

— Karja jest siostrą wodza Apaczów, muszę ją więc pomścić.

Wyciągnęła ręce do obu, a oni mocno je uści-snęli.

— Niedźwiedzie Serce jest naprawdę bratem i przy-jacielem wodza Miksteków; zabiorę go więc ze sobą—rzekł Bawole Czoło. — Ale chodźmy teraz do naszego białego przyjaciela.

Obładowani skarbami, przeznaczonemi dla Ungera, weszli wszyscy troje do pokoju chorego, przy którym czuwała Emma. Była blada, oczy miała zaczerwienione od łez.

— Nie trzeba płakać, sennorita!—rzekł Bawole Czoło.—Zobaczę, co się dzieje z chorym.

Zdjął Ungerowi bandaż, opatrzył go i powiedział:

— Nie umrzel

— Naprawdę? — zawołała Emma.

— Jestem tego pewien.

— Jak długo będzie jeszcze chorował?

Bawole Czoło zamyślił się. Po chwili rzekł:

— Tego nie wiem, ale w każdym razie chorobę przetrzyma.

— Opiekę będzie miał pieczołowitą.

— W to nie wątpię Czy mogę moją siostrę o coś zapytać?

— Proszę bardzo.

— Unger rozmawiał z panią o skarbie Miksteków, nieprawdaż? Sennorita wie, że był wraz ze mną w grocie tajemnej?

— Tak. Wszakże hrabia tam właśnie go zranił.

— Skarb został przeniesiony na inne miejsce, ale postanowiliśmy dać pewną drobną część jego Piorunowemu Grotowi. Leży teraz chory. Czy zechce pani w jego zastępstwie dar nasz przyjąć i zachować?

— Owszem — odrzekła. — Ale cóż takiego przynieśliście?

— Niech moja siostra zobaczy sama!

To mówiąc, Bawole Czoło odstąpił skarby. Zabłyły jak promienie słoneczne. Emma zapomniała na

chwile o swym chorym narzeczonym i, klaszcząc w ręce, zawołała:

— O Dios! Co za cuda! I wszystko to ma należeć do sennora Ungera?

— Wszystko należy do niego—odpowiedział spokojnie wódz Miksteków.

— Będzie teraz o wiele bogatszy ode mnie i od mego ojca—rzekła Emma.

Bawole Czoło spojrział na chorego.

— Piorunowy Grot zostanie małżonkiem pani, nieprawdaż?

— Tak—odrzekła, rumieniąc się aż po skronie.

— I nigdy go pani nie opuści?

— Nigdy! Ale skąd to pytanie?

— Nieustanna obecność mojej siostry będzie mu bardzo potrzebna. Mówił sennoricie o swojej ojczyźnie; skąd pochodzi?

— Z Moguncji.

— Czy ma krewnych?

— Brata żeglarza.

— Gdyby Unger nie potrzebował tych pieniędzy, chciałbym, aby je otrzymał brat jego. Czy mogę liczyć na panią w tym względzie?

— Owszem. Mnie te bogactwa nie pociągają. Ojciec mój dość jest zasobny, bym mogła wraz z mężem żyć w dostatku. Dobrze więc byłoby, gdyby brat mego przyszłego męża skarby te otrzymał.

Bawole Czoło zapytał:

— Czy lekarz, po którego posłano, jeszcze nie przybył?

— Nie.

Indjanin raz jeszcze przystąpił do łoża chorego. Emma, pochylona nad skarbami, bawiła się lśniącymi łańcuchami i pierścieniami. Gdy przepuszczała je przez palce, wydawały cichy, metaliczny dźwięk, który dziwnie podziałał na chorego. Pod wpływem tego dźwięku bowiem Unger otworzył szeroko powieki, rozglądając się dokoła. Wyraz oczu jego był bezdennie smutny. Miało się wrażenie, że chory widzi wprawdzie obecnych, ale ich nie poznaje.

— Zostałem zabity—wyszeptał.

— Na Boga, mówil — krzyknęła Emma, śpiesząc do łoża.— Co powiedziałaś, najdroższy?—zapytała drżącym głosem.

Chory spojrzał na nią i powtórzył:

— Zostałem zabity.

— Bredził—zawołała Emma.—Antonio, czy mnie nie poznajesz?

— Poznają cię.

— Więc powiedz, jak mi na imię.

— Nie wiem.

— Matko Boska! Nie poznajesz więc swojej Emmy?

— Znam ją, ale zostałem zabity.

Wybuchnęła płaczem. Po chwili zapytała:

— A tych dwóch wodzów nie poznajesz?

— Znam ich, ale nie wiem, jak się nazywają.

— Znasz chyba Bawole Czoło i Niedźwiedzie Serce?

— Tak; ale zostałem zabity.

— Nieprzytomny, mówi od rzeczy!—rozpaczała Emma.

Bawole Czoło położył rękę na jej czole i zapytał:

— Czy zechce mi sennorita odpowiedzieć szczerze

na pewne pytanie, ale tak, jakby pani odpowiedziała Wielkiemu Duchowi, gdyby ją zapytał?

— Odpowiem.

— Co pani uczyni, jeżeli przyjaciel mój Piorunowy Grot na całe życie zostanie w takim stanie, jak w chwili obecnej?

— Nie opuszczę go nigdy, nigdy. Ale wyzdrowieje chyba, odzyska przytomność?

— To nie jest wykluczone, chociaż mózg ma wstrząśnięty. Niech moja siostra da mi rękę na to, że go nie opuści!

Emma zanosila się łzami. Podała rękę obydwu Indjanom i rzekła:

— Jestem narzeczoną Ungera i zostanę małżonką jego bez względu na to, co się z nim stanie. Proszę tylko, aby został ukarany ten, który jest sprawcą nieszczęścia.

— Nie uniknie kary; przysięgłem na to — odparł Bawole Czoło.

Rozległ się tętent konia. Emma podeszła do okna.

— To lekarz — powiedziała. — Powie nam, czego należy się obawiać, czego spodziewać.

Po chwili hacjendero wprowadził lekarza, który, wysłuchawszy relacji o przyczynie i przebiegu choroby, przystąpił do łóża.

Chory, z twarzą wykrzywioną, nie wydawał dźwięku. Zdawało się, że usiłuje zapanować nad bólem.

Lekarz zapytał Ungera, czy wie, kim jest.

— Wiem — brzmiała odpowiedź, wypowiedziana tonem niezmiernie smutnym.

— A jak się pan nazywa?

— Tego nie wiem.

— Czy nie zna pan sennora Ungera?

— Znam go. Ale zostałem zabity.

— Gdzież on jest teraz?

— Nie wiem.

— A kto pana zabił?

— Tego również nie wiem.

Takie były odpowiedzi chorego.

Lekarz pokiwał głową.

— Wstrząs mózgu—rzekł po chwili.—Trudno tu będzie coś pomóc. Zioła, które miście obłożyli głowę chorego, są jedynym ratunkiem dla niego. Może, gdy się zagoją rany, wróci świadomość i pamięć. Nie należy jeszcze uważać wszystkiego za stracone.

Gdy lekarz wraz z don Pedrem i Indjanami opuścił pokój, Emma padła na kolana przed chorym i, ujmując jego rękę, zapytała:

— Czy naprawdę mnie nie poznajesz?

— Znam cię—wyszeptał.

— Wymień więc moje imię, choćby raz jeden!

— Nie znam go.

— A czy kochasz mnie?

— Tak—odparł z głębokiem smutkiem.

— Nie opuszczę cię nigdy, nawet gdybyś na zawsze pozostał chory.

— Nie jestem chory, zostałem tylko zamordowany!—

Tymczasem na folwarku ładowano na konie trupy Komanczów, aby je przewieźć na El Reparo. Zdjęto z nich odzież, którą don Pedro podarował służbie. Trupy, naładowane na konie, utworzyły długi łańcuch.

Z pośród dwustu Komanczów pozostało tylko sześciu, którzy znajdowali się w drodze do stolicy Meksyku. Aligatory miały znów wspaniałą ucztę. Bawole Czoło nie poinformował bowiem don Pedra, który był chrześcijaninem, o tem, jak się odbędzie „pogrzeb” na El Reparo. W rzeczywistości grobem Komanczów stała się sadzawka, w której żerowały krokodyle. — — —

PABLO CORTEJO.

Człowiek jest nieodrodnym synem ziemi, na której żyje. Charakter prawdziwego Meksykańczyka odpowiada charakterowi jego ojczyzny. Meksyk jest w znacznej części wulkaniczny. Podobnie większość mieszkańców jest krewka, porywczą, wulkaniczna. W kraju panuje żółta febra, w polityce Meksyku stosunki są gorączkowe i niezdrowe. Życie ludności, jej zwyczaje są pełne fantazji i zmian; w przeciągu jednego tygodnia można tu zaznać więcej przygód, aniżeli gdzie indziej przez dziesiątki lat. Jak wiadomo, stolica kraju, dawniej siedziba nieszczęśliwego władcy Montezumy, nosi taką samą nazwę, jak kraj cały: Meksyk. Wśród pałaców tego miasta jednym z najbogatszych był pałac hrabiego Fernando de Rodriganda y Sevilla, pana wielkich dóbr i możnowładcy.

Hrabia Fernando siedział właśnie w swym gabinecie i przeglądał rachunki, przedłożone mu przez sekretarza Pabla Cortejo. Łatwo było poznać, że panu sekretarzowi humor dziś nie dopisuje. Wysoka jego, chuda postać była pochylona, bezkrwiste usta były zacisnięte, niezadowolone; od czasu do czasu obrzucał hrabiego zaledwie dostrzegalnym, zjadliwym spojrzeniem

maleńkich oczu. Hrabia siedział nad papierami, marszcząc czoło.

— Nie, to mi się zupełnie nie podoba, na to się nie zgadzam—rzekł po chwili.

— Młodość ma swoje prawa — usprawiedliwił sekretarz.

Hrabia spojrział na niego z powagą i rzekł:

— Prawa prawami, niech młodość szumi, niech buzuje, ale ja widzę tu zupełnie co innego!

— Dowód pewnej słabostki...

— Co takiego? Więc pan nazywa to słabostką, jeżeli mój bratanek przegrywa jednego wieczoru dwanaście tysięcy pesów?

— Nieraz podobne sumy wygrywał.

— Aha, więc gra nałogowo? — rzucił hrabia gniewnie.—No, no, zabiorę ja się do niego!

Szperał dalej w papierach.

— Cóż to znowu? — zapytał po chwili. — Więc ta sprawa jeszcze nie załatwiona?

— Hrabia Alfonso użył sumy dlań przeznaczonej inaczey. Jak — tego nie wiem, bo nie ma przecież obowiązku zdawania mi sprawy.

— Tak, zdawać sprawy nie potrzebuje, przypuszczałem jednak, że powie panu coś o tem w zaufaniu. Mam wogóle wrażenie, że bratanek mój ufa więcej panu, niżeli mnie.

— Ależ hrabio, skądże znowu! Jak można porównywać...

— Mam mimo to wrażenie,—mówił dalej hrabia w ostrym tonie—że pan niezbyt dobry czyni z tego zaufania użytek...

— Ekscelencjo...

— No już dobrze. Jeżeli tak często bywam niezadowolony z mego bratanka, to jednak część jego winy ciąży na panu. Czy chciałbyś po tylu latach służby otrzymać dymisję?

Sekretarz ściągnął groźnie brwi, po chwili jednak twarz jego nabrała znowu zwykłego wyrazu. Odpowiedział pokornie:

— Czy jednak Ekscelencja nie myli się łaskawie?...

— Nie, nie mylę się. Dlaczegoż bratanek mój całymi dniami przesiaduje u pana? Dlaczego ciągle jesteście razem? Nie lubię tracić słów na próżno, a jeżeli już mówię, to nie bez podstaw. Jeszcze jedno: dlaczego stara się pan zawsze usprawiedliwić jego namiętność do gry?

— Przecież inni młodzi ludzie grają także.

— Nie wynika stąd, by miał wyrzucać przez okno moje pieniądze! Nie widzę również powodu, dlaczego ma puszczać w obieg moje przekazy.

— To drobiazg, przypadek...

— Co takiego?—krzyknął hrabia groźnie.—Przypadek! Kto kładł mój podpis na przekazach: bratanek mój, czy też pan?

— Hrabia Alfonso!

— Żeby mi się to więcej nie powtórzyło! Nie dam nikomu więcej przekazu mego in blanco, nawet panu memu sekretarzowi. Wczoraj zapłaciłem pięć tysięcy piasstrów za mego bratanka; ciekaw jestem, kto te pieniądze zainkasował?

— Ja — odpowiedział pokornie sekretarz, rzuciwszy

zpodejśba na hrabiego spojrzenie, pełne śmiertelnej nie-
nawiści.

— Więc pożyczał mu pan pieniądze?

— Prosił o to.

— Aha! Więc prośba lekkomyślnego bratanka znaczy dla pana więcej, aniżeli rozkaz jego wuja, któremu jesteś podległy? Znajdę środki, by zmusić pana do posłuszeństwa, zrozumiano?

Hrabia zagłębił się w papiery. Nagle purpurowy rumieniec oblał jego bladą, arystokratyczną twarz; był to rumieniec wstydu i zdumienia. Hrabia podszedł do sekretarza, przeszywając go groźnym wzrokiem:

— Czy pan wie, gdzie się obecnie Alfonso znajduje?

— W hacjendzie del Erina.

— W jakim celu tam się udał?

— Tego nie wiem.

— I ja nie wiedziałem, dlaczego poczuł nagle tęsknotę za daleką hacjendą i dlaczego pan adwokatował tej tęsknocie; teraz dopiero rozumiem wszystko!

Sekretarz zbladł jak płótno. Hrabia chodził wielkimi krokami po pokoju. Po chwili milczenia zapytał:

— Cóż się dzieje z pojedyńkiem?

— Z jakim pojedyńkiem? — pytał sekretarz z naj-
niewinniejszym wyrazem twarzy.

— Cortejo! — krzyknął hrabia tubalnym głosem.

— O niczem nie wiem.

— W takim razie daję panu natychmiastową dymisję.

A więc: czekam!

Cortejo czuł, że milczenie i wykręty go zgubią. Rzekł więc błagalnie:

— Don Alfonso nakazał milczenie.

— Kto ma tu do rozkazywania: ja, czy mój bratanek? No, prędeż, słucham!

— Młody hrabia odjechał, by uniknąć zatargu...

— Jaśniej, wyraźniej! Oto co pisze mi hrabia Embarez:

Don Fernandol

Proszę sennora, aby skłonił pan swego bratanka, niech w przeciągu trzech dni stanie do spotkania ze mną. Czekam na nie od trzech tygodni. Teraz daję termin ostateczny. Jeżeli hrabia nie stawi się w oznaczonym terminie, będę zmuszony ogłosić cały wypadek w *Diario oficial* i *La Sociedad*. Mam nadzieję, że zależy panu więcej na czystości rodowego nazwiska, aniżeli na strzępie skóry bratanka.

Almanzo hrabia Embarez.

— Czekam wyjaśnień! Chcę poznać całą prawdę.

— Hrabia obraził hrabiego Alfonsa.

— I mój bratanek wyzwiał go?

— Nie. Został wyzwany.

— W takim razie Alfonso musiał znieważyć hrabiego. Pocóż na Boga te ciągłe kłamstwa! Czy bratanek mój przyjął wyzwanie?

— Musiał przyjąć.

— Musiał! A więc nie zbywało mu na tchórzostwie, by go nie przyjąć? Co za hańba! Gdzie wyznaczono miejsce spotkania?

— Na brzegu jeziora Tescuco.

— I Alfonso nie zjawił się na czas?

— Hrabia Embarez uchodzi za najzręczniejszego fechtmistrza i strzelca—rzekł zakłopotany sekretarz.

Hrabia chwycił się za serce.

— Boże miłosierny!—jęknął. — Więc mam bratanka, który jest nikczemnym tchórzem! Wyzwano go, a on uciekł ze strachu! Nazwisko Rodriganda będzie splamione i shańbione, jeżeli nie znajdę natychmiast wyjścia.

Znowu wielkimi krokami przemierzał pokój. Po chwili rzekł:

— Oto mój rozkaz: należy wysłać zaraz dwóch najszybszych gońców do hacjendy!

— Dwóch?

— Tak, dla pewności. Niechaj powiedzą memu bratankowi, aby natychmiast, bez najmniejszej zwłoki, wracał do Meksyku. Zrozumiano?

— Ekscelencja wie chyba o tem, że młody hrabia nie będzie mógł przybyć tu prędzej, aniżeli za trzy, cztery tygodnie.

— Wiem o tem. Pojadę sam do hrabiego i powiem mu, że stanę w zastępstwie bratanka. Alfonso zdecydował się na szpady, czy tak?

W oczach sekretarza pokazał się błysk zadowolenia i radości. Odpowiedział:

— Tak.

— Taki tchórzliwy, a taki lekkomyślny! Gdyby wystrzelił pistolety na wielką odległość, nie miałby potrzeby uciekać. No, proszę teraz odejść i przysłać mi tu starą Marję Hermoyes.

Sekretarz opuścił gabinet.

Po chwili zjawiła się przed hrabią starsza kobieta

godnej powierzchowności. Skłoniwszy się głęboko, stanęła przy drzwiach.

— Podejdź bliżej, Marjo, siadaj!—rzekł don Fernando ciepło do swej starej służącej, niezwykle przywiązanej do hrabiego i całego domu.

Chodził ciągle po pokoju; widać było, ile trudu sobie zadaje, aby opanować gniew i ukryć stan najwyższego zdenerwowania.

— Mogę ci ufać w zupełności, prawda, Marjo?

— Ależ, hrabio! Życie moje należy do pana.

— Wiem o tem. Powiesz więc całą prawdę?

— Nie okłamywałam pana nigdy.

— Wiem o tem. Ale są rzeczy, których nawet najlepszy, najwierniejszy służący woli nie powiedzieć swemu panu. Przed wielu laty przywiozłaś Alfonsa z Hiszpanji; powiedz mi szczerze: jest rzeczywiście moim bratankiem?

Pytanie hrabiego wywarło na Marji ogromne wrażenie. Zamarła cała z przerażenia.

— Wielki Boże, co za pytanie?! Dlaczegożby nie miał być waszym bratankiem?—wyjąkała.

— Odpowiadaj jednym, jedynym słowem: tak, czy nie!

— Tego nie mogę, nie mogę!

— Dlaczegoż to?

— Uderzyło mnie to już dawno, że hrabia Alfonso jest tak bardzo podobny do sennora Pabla Cortejo...

— I mojej to nie uszło uwagi. To właśnie podobieństwo nasuwa mi podejrzenia i odbiera spokój.

— Dziwne to nieco, że hrabia Alfonso ciągle prze-

bywa u don Pabla, ustawicznie ma z nim jakieś tajemnice.

— Wiem o tem. Lecz to się musi zmienić.

— Ponadto...—tu zatrzymała się Marja, czerwieniąc się mimo swego wieku po uszy.

— Ponadto?

— Jeszcze coś zwróciło moją uwagę: oto brat don Pabla...—znowu urwała.

— Ależ mów! Zostanie to między nami. Myślisz o pełnomocniku mego brata, adwokacie Gasparino Cortejo z Manrezy w Hiszpanji?

— Tak. Przed laty umizgał się do mnie, choć byłam starsza od niego; darował mi wtedy swą fotografię, mam ją jeszcze.

— Cóż ta fotografia?

— To wykapany hrabia Alfonso.

— Czy mogę ją zobaczyć?

— Owszem, Ekscelencjo, zaraz ją przyniosę.

Po chwili Marja wróciła z fotografią. Rzuciwszy na nią okiem, hrabia zawołał:

— Ależ to Alfonso, żywy Alfonso!

— Tak, i mnie się tak zdawało.

— Byłaś mamką małego Alfonsa?

— Tak; przez sześć miesięcy. Po odstawieniu go od piersi miałam pozostać dalej na zamku, ale znalazł się pewien stolarz, który starał się o moją rękę; wyszłam wkońcu zamąż i zamieszkałam z nim razem. Po jakimś czasie mąż mój zachorował i umarł. Było to wtedy, gdy pan, hrabio, chciał zabrać do siebie małego Alfonsa. Spełniono waszą prośbę. Żył bowiem jeszcze starszy brat Alfonsa. Przywiozłam małego tu, do Meksyku;

nie miałam nikogo na świecie, musiałam więc znowu pójść na służbę.

— Jak się odbył twój odjazd?

— W dniu odjazdu, rano, zawołano mnie na zamek, poczem hrabia wraz z hrabiną odprowadzili nas powozem do Barcelony. Tam oczekiwał hrabiego Alfonsa i mnie sennor Pedro Arbellez, obecny nasz dzierżawca, wtedy ekonom.

— Czy hrabia i hrabina odprowadzili was na statek?

— Nie. Oboje udali się wieczorem w powrotną drogę. Dobra moja pani była bardzo smutna i wzruszona. Następnego ranka miałam wrażenie, że dziecko ma zupełnie inną twarz, niż dnia poprzedniego.

— I cóż jeszcze?

— Jeszcze jedna drobnostka. Ludzie ubodzy, jak ja, lubią oglądać rzeczy, noszone przez bogatych. Więc, gdy kładłam małego do snu, obejrzałam dokładnie, jak Alfonso był ubrany. Na drugi dzień zdawało mi się, że koszulka ma nie ten sam numer, co wieczorem, gdy dziecko do snu kładła.

— Zdawało ci się, czy byłaś tego pewna?

— Sama dobrze nie wiem.

— Tak. To w każdym razie bardzo ważne. Czy drzwi od pokoju twego były zamknięte na klucz?

— Nie.

— W jakiej nocowaliście oberży?

— W oberży El Hombre Grande w Barcelonie.

— Nie pamiętasz, kto jeszcze na noc tam się zatrzymał?

— Niedaleko od mego pokoju nocował jakiś człowiek, którego późnym wieczorem odwiedziło jeszcze

dwóch; wszyscy trzej opuścili oberżę wczesnym rankiem. Jeden niósł przy wychodzeniu jakieś zawiniątko pod pachą.

— Kto to zauważył?

— Dziewczyna z oberży, która z powodu bólu zęba całą noc nie spała.

— Czy możesz mi jeszcze coś powiedzieć, co by miało dla naszej sprawy znaczenie?

— To same drobnostki. Nie zwraca się na nie właściwie uwagi, dopiero później dają do myślenia. A więc, mały nie mówił nigdy o rodzicach, choć właściwie powinien był płakać z powodu rozstania się z nimi.

— Ah!

— Gdy mówiłam z nim o hrabi i hrabinie, rzadko kiedy nazywał ich: mama, tata, prawie zawsze: ojciec, matka. Wogóle niechętnie wspominał kraj rodzinny, tak, jakby mu tego kto zabronił. Poza tem nie zawsze odzywał się, gdy go wołałam imieniem Alfonso; miałam chwilami wrażenie, że nazywał się inaczej.

— Na Boga! O tem wszystkim mówisz mi dopiero teraz?

— Z początku nie zwracałam na to uwagi. Byłam daleka od podejrzeń. Dopiero tu, w waszym domu, przejrzałam nieco. Podejrzenie przyszło dopiero wtedy, gdy zauważyłam to niesłychane podobieństwo. Ale było już za późno!

— Może i nie za późno. Tego nigdy nie można wiedzieć...

— Ponadto uderzyło mnie podczas podróży, że chłopak wypytywał się ciągle o don Pablo Cortejo, a nie o

was. Potem zauważyłam, że obydwaj mówią do siebie ty, gdy im się zdaje, że są sami.

— Naprawdę?

— Tak. Raz nawet hrabia nazwał sekretarza wujem. Było to w ogrodzie; nie mieli pojęcia, że ich słyszę i widzę.

— Dalej, dalej!

— To wszystko! Więcej nic nie wiem.

— No, i to wystarczy. Jestem głęboko przekonany, że popełniono tu łajdactwo. Biada im!

— Mam zachować milczenie o tem, o czem mówiliśmy, prawda, hrabio?

— Oczywiście. Nie powinni mieć nawet pojęcia, że coś przeczuwamy. Mogliby pozacierać ślady. Ale jeżeli jest istotnie tak, jak przypuszczam, gdzie szukać prawdziwego Alfonsa?

— Wykradli go ci trzej.

— Może zamordowali?

— O mój Boże!

— Muszę poznać całą prawdę, muszę!—rzekł hrabia w pasji.—Dla świata jest jednak moim bratankiem i nawet dziś wystąpię w jego imieniu. Powiedz woźnicy, aby zaprzęgał. Gdy będziesz mi w tej sprawie potrzebna, każę cię zawołać.

Marja wyszła.

Hrabia zamknął w biurku wszystkie papiery, z powodu których tak się zirytował, i zszedł na dół.

— Do hrabiego Embarez!—rzucił woźnicy, wsiadając do powozu.

Wkrótce powóz zatrzymał się przed domem hrabiego. Hrabia Fernando kazał się zameldować. Hrabia

Embarez, człowiek jeszcze młody, przyjął go z wyszukaną, lecz zimną uprzejmością. Poprosił hrabiego, by usiadł. Sam stał. Wobec tego i hrabia Rodriganda odsunął podane mu krzesło.

— Otrzymałem dziś list od pana—zaczął hrabia.

Embarez skinął potwierdzająco głową.

— I zdziwił mię ton, w którym został zredagowany.

— To mój ton, zwykły.

— Mimo to zdziwił mnie, bo w mojej naturze leży uprzejmość wobec wszystkich!

— Ja również bywam uprzejmym wobec osób godnych.

Rodriganda cofnął się o krok:

— Więc twierdzi pan, że moja osoba nie jest warta tej uprzejmości?—zapytał ostro.

— O panu nie było mowy.

— Ale list był do mnie adresowany.

— Lecz mowa w nim była o bratanuku pańskim.

— Proszę o bliższe wyjaśnienie. O co wam poszło?

— To sprawa honorowa. Obraził moją siostrę. Wyzwałem go więc na szpady i wyzwanie to przyjął.

— Kiedy miał się odbyć pojedynek?

— W trzy dni później. Niestety, hrabia Alfonso nie zjawił się w tym terminie; mam wrażenie, że nie uważa, by honor jego wart był pchnięcia szpady. A może jest poprostu tchórzem?

Hrabia Fernando czuł się do głębi dotknięty; zachowując jednak zimną krew, odrzekł:

— Mam wrażenie, że niebardzo to szlachetnie dręczyć w tej sprawie kogoś zupełnie niewinnego, jak ja! Oświadczam, że bratanek mój był zmuszony udać się z wy-

cieczką do pewnej osławionej części naszego kraju. W takich okolicznościach można się spóźnić przy najlepszych zamiarach. Ja, na pańskim miejscu, hrabio, dowiedziałbym się najpierw od stryja, jak ma się rzecz właściwie, a nie drażniłbym człowieka honoru, który panna niczem nie dotknął i którego imię jest bez skazy.

Na te słowa odparł hrabia:

— List odnosił się do bratanka, nie do stryja.

— To nic nie tłumaczy! Uważa mnie hrabia za zastępcę bratanka? Jeżeli więc hrabia do mnie skierowuje słowa, które do niego się odnoszą, to proszę użyć raczej szpady przeciw mnie, zamiast przeciw niemu.

— Co takiego? Hrabia chciałby...

— Tak. W zastępstwie bratanka przyjmuję wyzwanie.

— Ale hrabio, to nie leżało w moich zamiarach. Niechże hrabia da pokój!

— Powtarzam, że przyjmuję wyzwanie!—odparł hrabia poważnie, niemal groźnie.

— Cóż robić. Jeżeli hrabia nalega...

— Kiedyż nastąpi spotkanie?

— Kiedy hrabia chce.

— Jutro?

— Tak hrabiemu śpieszno do śmierci? — zapytał szyderczo Embarez.

— Życie moje w ręku Boga — odparł z godnością don Fernando.

— Jaką bronią walczyć będziemy?

— Tą samą, którą miał walczyć mój bratanek: na szpady. Miejsce to samo, które wybrał mój bratanek.

— A sekundant?

— Kto sekundował bratankowi?

— Wicehrabia de Lorrière.

— Więc on będzie mym sekundantem.

Po tych słowach hrabia opuścił dom hrabiego Embarez i udał się do mieszkania wicehrabiego de Lorrière. Wicehrabia był oburzony, że młody hrabia nie stawił się na termin. Ze względu jednak na nieskazitelne imię hrabiego Fernanda, przyjął zastępstwo.

Powróciwszy do domu, don Fernando pisał przez całe popołudnie, wieczorem zaś kazał zawołać do siebie Marję. Przypuszczała, że hrabia będzie z nią znowu mówić o tajemniczej zamianie dzieci, myliła się jednak.

— Marjo — rzekł — powierzę ci tajemnicę, której nie wolno zdradzić.

— Ależ hrabio, będę milczała jak grób.

— Wiesz wszakże, co to pojedynek? Jutro rano będę się bić.

— Na Boga, czy to możliwe? Nie, hrabia nie uczyni tego!

— Muszę — odparł. — Alfonso został wyzwany i uciekł jak podły tchórz. Muszę ratować honor swego nazwiska.

— Hrabia Alfonso będzie przyczyną morderstwa swego stryja!

— Nie. Znam się dobrze na szpadzie, władam nią doskonale. Na wszelki wypadek jednak przygotowałem testament.

— Myślałam, że testament już dawno gotów, — rzekła Marja z naiwną prostotą.

— Tak, był testament, w którym generalnym spadkobiercą mianuję Alfonsa. Ale zmieniłem go. Oto nowy tekst. Przechowasz go, prawda?

— Ja? Dobry panie, dlaczego ja, biedna, słaba kobieta?—zapytała z płaczem.

— Jesteś mi wierna i tobie jedynej ufam w zupełności. Jeżeli jutro wrócę cało, zwrócisz mi testament. Jeżeli nie wrócę, oddasz go zarządcy, który już poczyni odpowiednie kroki. Dobranoc!

Stara protestowała w dalszym ciągu, lecz hrabia odprowadził ją delikatnie do drzwi, nie chciał się bowiem sam rozczulać.— —

Wyszedłszy od hrabiego, Pablo Cortejo wysłał stosownie do polecenia Fernanda dwóch gońców, poczem udał się do swego domu.

Był wdowcem, żona zostawiła mu córkę, jędnaczkę. Córkę tę ubóstwiał, choć nic w sobie boskiego nie miała.

Była wysoka i szczupła, jak ojciec, rysy twarzy miała ostre, ruchy kanciaste. Twarz jej była woskowo blada, połowy zębów brakowało, oczy zaś podobne były do oczu sowy, wystawionych na światło słoneczne.

Pablo poszukał córki. Leżała na dziedzińcu domu w hamaku, rozkoszując się chłodem i paląc papierosy.

— To ty, ojczy? — zawołała. — Czegóż hrabia chciał od ciebie o tak niezwykłej porze?

— Chciał uderzyć mnie pięścią między oczy.

— O cóż poszło?

— Naturalnie o Alfonsa!

— To przecież je go bratanek!

— Przynajmniej formalnie. Nie chciałbym wpaść w ręce starego, gdyby się dowiedział, jak rzeczy stoją naprawdę. Była naprzód mowa o grze, później o pojedynku, w którym ty wyłączną ponosisz winę.

— Ja?—zapytała dziewczyna.—Czy to ja dałam powód do wyzwania?

— Nie, ale nie pozwoliłaś, aby Alfonso się stawił. Żal ci było jego życia.

— Cóż to ma wspólnego z dzisiejszą twoją rozmową?

— Hrabia Embarez wystosował list do starego. Stary groził mi degradacją, dymisją.

— Na to się nie odważy, a zresztą Alfonso do tego nie dopuści!

— Stary chce go wziąć krótko; twierdzi, że mu psuje bratanka.

— To nie ty, to ja!—rzekła z pewnością siebie córka Pabla Cortejo.

— Masz zupełną rację. Zresztą list hrabiego przyniósł nadzwyczajny rezultat, którego bym się nigdy nie spodziewał: stary będzie się pojedynkował zamiast swego bratanka.

Dziewczyna wyskoczyła z hamaku ze słowami:

— Kiedy?

— Nie wiem dokładnie, przypuszczam jednak, że wkrótce, bo hrabia nie lubi zwlekać.

— A jeżeli zginie od kuli?

— Może tylko zostać zakłuty, walczą bowiem na szpady.

— To jeszcze niebezpieczniejsze.

— Wygramy tylko na tem. Sporządził przecież testament, mocą którego Alfonso zostaje spadkobiercą.

— No, i ja także coś dziedziczę!

— Tak, i ty. Mój poczciwy braciszek Gasparino, to spryciarz; chce mieć wszystko dla siebie i dla swego syna. My zaś mamy się kontentować ochłapami. Ale

myśmy sprytniejsi od niego! Dlatego też będziesz dziewczką razem z Alfonsem, będziesz na pewno!

— Ciekawa jestem, co powie Alfonso na naszą propozycję?

— Z pewnością nie powie „tak”.

— Dlaczegoż to? Czy uważasz, że jestem za mało piękna?—zapytała, rozdrażniona.

— Nie; tego nie uważam. Ale kto jest hrabią, ten żeni się zwykle z hrabianką.

— Gdy się ze mną ożeni, zostanę hrabiną!

— Nie sądzę, aby poszło tak gładko.

— Będzie musiał poddać się, będzie musiał!

— A jeżeli stary nie padnie w pojedynku?

Dziewczyna długo nie odpowiadała, patrząc w ziemię. Wreszcie rzekła:

— Dlaczego jesteście tak słabi, wy, mężczyźni?

Ojciec patrzył przez czas jakiś badawczo na córkę, poczem rzekł:

— Więc twojem zdaniem musi zginąć?

— Tak.

— Jeżeli nie od szpady...

— ...to od czego innego. Jak długo jeszcze mamy czekać?!

Przy tych słowach obmierzła jej twarz nabrała wyrazu bezmiernej chciwości.

— Tak; długo nie należy czekać...

— Więc trzeba działać! Czy mam ci pomagać?

— Może przydałaby się twoja pomoc.

— Więc powzięłeś już jakieś postanowienia? Jakie?

— Chciałem już przedtem pomówić z tobą. Czytałaś list brata mego, Gasparina?

— Tak. Píše, że hrabia Fernando musi zniknąć z powierzchni ziemi.

— Cóż na to mówisz?

— Nie bardzo mi się to podoba. Dopóki żyje, mamy ciągle broń w ręku przeciw Alfonsowi i twemu bratu.

— Może masz rację. Może najlepiej byłoby wydać go temu rabusiowi Henrico Landola, który przybędzie tutaj w tych dniach. Przyznam ci się, że mi niezbyt miło byłoby być mordercą człowieka, któremu tyle zawdzięczam.

— Zawdzięczasz?—odparła szyderczo Józefa.—Przecież pracujesz na niego! Nie; o wdzięczności nie powinnoś myśleć. Mimo to, jestem zdania, aby nie zabić hrabiego Fernanda. Jeżeli więc nie padnie w pojedynku, trzeba go uśmiercić pozornie. Ale kto da nam potrzebną truciznę?

— Jest pewien człowiek, który zna wszystkie trucizny i jady. Handluje nimi potajemnie. To stary Indjanin, mieszka w San Anita. Nazywa się Basilio. Pomówię z nim.

— Ale dopiero po pojedynku, prawda? Co słyszałaś z Alfonsem?

— Przed trzema tygodniami wysłałem do niego gońca. Dziś hrabia kazał wysłać po niego dwóch ludzi. Jest z pewnością w powrotnej drodze; wróci za kilka dni.

— Chwała Bogu, będę go znowu miała!

Oczy jej zabłyśły radością. Widać było, że kocha

Alfonsa szczerze, że drzemie w niej wulkan namiętności.—

Następnego ranka, o bladym świcie, wyruszył hrabia Fernando de Rodriganda ze swym sekundantem za Meksyk, nad jezioro Tescuco. Obydwaj jeźdźcy ubrani byli w narodowe stroje meksykańskie. Obydwaj mieli na głowach wielkie, jasne sombrero—kapelusze o szerokich kresach—z których złote sznury spadały na plecy, ubrani byli w ciemne kurtki o wielkiej liczbie srebrnych guzików, w zapateros, owinięte pasem, wyszywane złotem i srebrem.

Podobnie ozdobione były siodła i uzdy.

Lejce z kolorowego jedwabiu, ogromne ostrogi z czystego srebra. Za siodłem zwinięty kolorowy serape; za nim zaś po obydwóch stronach spadała na konia miękka skóra. Przy każdym z siodła uwiązane lasso.

Obydwaj jeźdźcy drogę spędzili w najgłębszym milczeniu.

Na miejscu spotkania już czekał przeciwnik. Obok stał lekarz, sekundant i sędzia. Sędzia zaproponował, aby się pogodzili, lecz obydwaj przeciwnicy, odrzuciwszy propozycję, stanęli naprzeciw siebie. Na dany znak rozpoczęła się walka.

Jeżeli hrabia Embarez przypuszczał, że łatwe mieć będzie zadanie ze swym przeciwnikiem, pomylił się bardzo. Już w pierwszym starciu hrabia Fernando zranił lekko przeciwnika. Podnieciło to hrabiego Embarez; nałożył więc całą moc i zręczność i w drugim starciu wbił szpadę w pierś don Fernanda.

— Jestem raniony!—zawołał hrabia, padając na ziemię.

Lekarz stwierdził, że, choć rana niegroźna, walkę trzeba przerwać. Hrabia Embarez przyjął to oświadczenie lekarza do wiadomości i odjechał. Don Fernanda opatrzone i przewieziono w powozie sędziego do domu.

Powitał go Cortejo wraz z córką jękami rozpacz; lecz z polecenia hrabiego lekarz wyprosił oboje z pokoju. Hrabia pragnął mieć u swego wezgłowia jedynie Marję. Wezwano ją więc, aby objęła opiekę nad rannym. Gdy lekarz wyszedł, Marja rzekła:

— Mam testament przy sobie.

— No, chwata Bogu, nie jest jeszcze potrzebny! Masz tu klucze, schowaj go do środkowej szuflady biurka.

Marja ze skrupulatnością spełniła polecenie.—

Tymczasem w mieszkaniu Pabla ojciec i córka wściekali się ze złości.

— Czego hrabia chce od nas!—krzyknęła Józefa.

— Nie mam pojęcia. Stara wkradła się w jego łaski.

— Ten hrabia Embarez, który jest nadzwyczajnym fechtmistrzem, to prawdziwy osioł. Czy nie mógł uderzyć głębiej?

— Jadę zaraz do San Anita.

— Tak; jesteś hrabiemu niepotrzebny. Jedź, każda chwila droga!

— Chciałem właściwie poczekać na powrót Alfonsa.

— Tymczasem możesz postarać się o truciznę!

— To prawda. A więc jadę!—

Po długiej drodze, którą odbywał konno, jadąc jedną z największych ulic Paseo de Bucareli, Pablo Cortejo przybył wreszcie do Paseo de la Viga, skąd pro-

wadziła droga do wsi San Anita i Ixtacalco, zamieszka-
nych wyłącznie przez Indian.

Indianie ci trudnili się dostarczaniem do stolicy o-
woców, kwiatów, ryżu i siana. Transporty odbywały się
na płaskich łodziach po kanale del Chalco; pilnowały
ich zwykle jaskrawo ubrane kobiety indjańskie.

Obok wiosek, w których mieszkali Indianie, znaj-
dowały się sławne chinampas, które były czemś
w rodzaju pływających ogrodów. Ogrody te powstały
w ten sposób, że na jeziorze umieszczono cały szereg
czółen i tratw. Na czółna te i tratwy Indianie rzucali
ziemię, na której sadzili jarzyny i kwiaty. Rośliny za-
puszczały głębokie korzenie, tak, że fala nie mogła już
ruszyć z miejsca bujających na powierzchni wody czół-
ten. Utworzyły się z tego czasem małe, oplecione
kwiatami wysepki, na których rosły cudowne jarzyny i
owoce.

Indianie, mieszkający tutaj, byli katolikami. Nazy-
wano ich *Indios fideles* w odróżnieniu od dzikich
Indian—pogan, nazywanych *Indios bravos*. Wnieśli
oni nieco swych dawnych zwyczajów do chrześcijań-
stwa; przez to bywali chwilami okrutniejsi od Koman-
czów i Apaczów.

Takim Indianinem był Basilio, specjalista od tru-
cizn i jądów. Znajomość ich przyrządzania i stosowania
odziedziczył po przodkach. Sumienie miał zatwardziałe
w miarę, by spokojnie prowadzić handel trucizną; kto
wie, czy za jego pośrednictwem nie zginęło więcej
ludzi, aniżeli z ręki Bawolego Czółta i Niedźwiedziego

Serca, którzy przynajmniej walczyli z otwartą przyłbicą.

Don Basilio był popularny; Cortejo znał go również dobrze. Zostawiwszy konia w małym podwórku, ukrytem przed natrętnymi oczami, sekretarz zapukał do drzwi, raz i drugi. W drzwiach pojawiła się zgrzybiała twarz starej baby.

— Czego chcecie?

— Czy lekarz Basilio jest w domu?

— Nie! Nie wiem, gdzie jest i kiedy wróci.

Cortejo wyciągnął z kieszeni srebrnego pesa i, pokazując go starej, raz jeszcze zapytał:

— Czy Basilio w domu?

— Może. Zobaczę. Ale naprzód pieniądzel

— Dostaniesz je, jeżeli się dowiem, że jest w domu.

— Ależ jest, jest. No, a teraz pieniądzel

— Czy mogę wejść do niego?

— Tak.

Cortejo dał starej monetę i wszedł. Zatrzasnąwszy drzwi, zaprowadziła go do komórki bardziej podobnej do chlewu, aniżeli do mieszkania ludzkiego.

— Siadajcie. Zaraz go zawołam!

Po jej wyjściu zaczął szukać przedmiotu, na którym możnaby usiąść. W „pokoju” nie było nic, prócz kupy suszonych roślin. Indjanin zjawił się po długiej chwili oczekiwania. Był to mały, chudy człowieczek o ostrych rysach i olbrzymim, jastrzębim nosie, na którym tkwiły wielkie okulary.

— Czego chcecie?—zapytał.

— Czy mogę mówić otwarcie?

— Tak.

— Sprzedajecie lekarstwa?

— Tak.

— Złe i dobre, co?

— Wszystkie są dobre.

— Myślałem: trujące i nietrujące.

— Tak. Mam wrażenie, że chcecie mówić ze mną o trujących. Z kimże mam honor?

— To zbyt cenna wiadomość; w każdym razie zapewniam, że nie jestem alguazilem.¹⁾

— Dobrze, ale czy macie pieniądze? Kto chce mówić ze mną o truciznie, musi zapłacić dziesięć pesów. A więc?

— Zapłacę je.

— Czekam!

Cortejo wyciągnął z kieszeni żadaną sumę i wręczył ją Indjaninowi. Znachor schował pieniądze do kieszeni szerokich spodni i rzekł z uśmiechem:

— Teraz możecie pytać!

— Czy istnieje trucizna, po której zażyciu nastąpić może śmierć pozorna?—zapytał Cortejo.

— Owszem. Kilka rodzajów. Dla kogóż ma być przeznaczona?

— Dla mężczyzny lat około pięćdziesięciu, bardzo zdrowego i mocnego.

— Czy ma zbudzić się na nowo?

— Tak, po tygodniu.

— Na kiedy potrzebna jest trucizna?

¹⁾ Alguazil—policjant.

— Potrzebuję jej zaraz. Zapłacę, ile żądacie!

— Kosztuje sto pesów.

— Daję je.

— Doskonale, to rozumiem; interes krótki i jasny. Zaczekajcie tu chwilę, przyniosę truciznę.

Basilio wrócił dopiero po godzinie. Podając sekretarzowi zawiniątko w kształcie tutki, rzekł:

— Oto trucizna!

Cortejo wziął tutkę, niewiekszą aniżeli czwarta część naparstka, i zapytał:

— Czy mogę otworzyć?

— Owszem.

Cortejo rozwinął papier. Zawierał bezwonną i bezbarwną substancję, która wyglądała jak sproszkowana mąka.

— Czy można tego dotknąć?

— Działa tylko w żołądku, po zażyciu.

— Jak ją wsypać?

— Trzeba rozpuścić w wodzie i wlać do jedzenia lub napoju. Działa w każdym wypadku po upływie nocy.

— Czy istnieje jaki antydot tego jadu?

— Nie. I żadne lekarstwo nie może powstrzymać jego działania.

— Więc biorę je i płacę żadaną sumę. Ale ręczycie za skutki!

— Nie przysięgam; sami się przekonacie, że będzie, jak powiedziałem.

— W przeciwnym razie wrócę po moje pieniądze, a

was oskarżę o wyrabianie trucizny. Wiecie z pewnością, że za to czeka was śmierć niechybna!

Indjanin uśmiechnął się szyderczo:

— Któż jest winien, mój panie? Czy ten, kto wyrabia truciznę, czy ten, kto ją daje drugiemu? Mam wrażenie, że ten drugi bardziej, aniżeli pierwszy. No, dawajcie pieniądze i koniec na tem!

Cortejo wyciągnął sto pesów i dał Indjaninowi; potem schował starannie truciznę. Już miał wyjść, gdy coś sobie naraz przypomniał:

— Jeszcze jedno. Czy na pozornie umarłym występują plamy pośmiertne?

— Niel

— Ależ w moim wypadku są one konieczne!

— To niedobrze—odparł Indjanin z chytrym uśmiechem.—Może go jednak zabijecie, w takim razie oznaki rozkładu pojawią się bezwątpienia.

— Nie; nie chcę, by umarł; ale czy nie można sztucznie wywołać plam?

— Może. Kosztuje to jednak pięćdziesiąt pesów!

— Jesteś chytrym łotrem, Basilio! Ciągłe pieniądze i pieniądze. Dam dwadzieścia!

— Nie; niżej pięćdziesięciu nie mogę. Nie mogę! — Po tych słowach Basilio udał, że odchodzi.

— Dam trzydzieści — rzekł Cortejo.

— Zaczekajcie tedy. Przyniosę, co potrzeba.

Po dziesięciu minutach wrócił, niosąc fłaszeczkę, napełnioną żółtawym płynem.

— Trzeba zwilżyć tym płynem szmatkę i pocierać

nią te miejsca, gdzie mają wystąpić plamy. Im więcej płynu weźmiecie, tem ciemniejsze będą plamy.

— Oto pieniądzel

Indjanin z zadowoleniem wsunął je do kieszeni. Cortejo wyszedł z mieszkania Basilia i, dosiadłszy konia, popędził galopem, gdyż obecność w domu Indjanina mogłaby rzucić na niego cień podejrzenia.— —

DEPT. OF AGRICULTURE
U.S. DEPARTMENT OF AGRICULTURE
DIV. OF ENTOMOLOGY
WASHINGTON, D. C.
GRACOVENSIS

SPIS ROZDZIAŁÓW:

	str.
1. Porwani przez Komanczów	5
2. Hacjenda del Erina	29
3. Skarb Miksteków	58
4. Sazawka krokodyli	72
5. Czarny Jeleń	101
6. Pablo Cortejo	138

Dotychczasowy nakład dzieł
KAROLA MAYA
przekroczył 4 MILJONY egzemplarzy!

1881 Jan.

ukazały się następujące dzieła

—==== KAROLA MAYA —====

1. 2. 3. Skarb w Srebrnym Jeziorze
7. Hadzi Halef Omar (nowele)

cykl SZATAN i JUDASZ

I serja SZATAN:

4. Święty dnia ostatniego
5. Yuma Shetar
6. The Player
8. Klęska Szatana

cykl RÓD RODRIGANDA:

14. Tajemnica Miksteków I
15. Bryganci z Maladetta II (w druku)

w przygotowaniu:

16. Cyganie i przemytnicy
trzecia część cyklu Ród Rodriganda
9. Winnetou w Afryce
pierwsza część serji JUDASZ i t. d.

DZIEŁA KAROLA MAYA

TOM	
I	Skarb w Srebrnem Jeziorze
II. III. IV	Szatan i Judasz
V	Na obcych drogach
VI	Zamek Rodriganda
VII	Od Renu do Mapimi
VIII	Benito Juarez
IX	Traper Sępi-Dziób
X	Zmierzch cesarza
XI. XII. XIII. XIV	W kraju Srebrnego Lwa
XV	Testament Inkasa
XVI	Wśród sępów
XVII	Boże Narodzenie
XVIII	A pokój na ziemi
XIX. XX	Przez kraj Ardów i Dżinnów
XXI	Król naftowy
XXII	Na progu zaświatów
XXIII	Mekka
XXIV	Spadkobiercy Winnetou
XXV	Matuzalem
XXVI	Wyspa skarbów
XXVII	Profesor Viclipucli
XVIII. XXIX. XXX	W kraju Mahdiego
XXXI.	Metys
XXXII. XXXIII	Old Surehand
XXIV. XXXV	Winnetou I t. d.

Każdy tom ukazuje się w trzech częściach
zaopatrzonych w odrębne tytuły.



